№ 31. Warszawa, dnia 4 (16) Kwietnia 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

LEONARDO DA VINCI.

(szkic biograficzny).

Epoki wytwarzają wielkich ludzi, a wielcy ludzie wytwarzają epoki.

Zdanie to przyłożone do osobistości, o któréj mówić mamy, streszcza nam ją najzupełniéj. Leonardo da Vinci rozpoczął zawód swój pośród dobrze już przetorowanéj drogi artystycznego rozwoju Włoch XV wieku, a mimo to dołożył do tego rozwoju tyle jeszcze z swéj własnéj genialności, iż przez nią i w niéj świetność zakwitu wszystkich trzech sztuk postaciowych, znalazła niedającą się wiekami wzruszyć podporę.



Stosunkowo do wielkiéj i ciągłéj pracowitości Leonarda, do długiego życia jego, niewiele prac zachowało się do dziś dnia: tak w malarstwie, budownictwie, inżynieryi cywilnéj i wojskowéj jak i w literaturze umiejętności i poezyi. Różnorodność i ogrom tych prac niezawodnie najgłówniejszym małéj ich liczby są powodem, lubo i to jest niezawodném, iż znaczna onych część niedotrwała do obecnego wieku z rozmaitych powodów zewnętrznych, jak np. rzeźbiony kolosalny posąg konny Franciszka Sforzy, dwa razy wykonany w modelu i dwa razy zniszczony niezwłocznie po ukończeniu.

Różnorodność i liczebna ilość są jednak tylko zewnętrzną stroną rzeczy; najwewnętrzniejszym i zdumiewającym jest stopień ich gienialnéj doskonałości. Rozpatrując się w tych dziełach, rozczytując zwłaszcza w niezupełnych już dziś traktatach o sztuce, zdaje się niepodobném, aby wszystkie te zasady i uwagi mogły być zebrane w ciągu życia jednego człowieka; nasuwa się też przypuszczeniu, iż one są zbiorem jakichś tradycyonalnie przechowanych zasobów doświadczenia przyniesionych do

Włoch w XV wieku na dwór gościnnych Medyceuszów przez wypartych z Bizancyum islamizmem Greków: atoli skoro się obejrzymy na pamiętniki współczesne, na listowne świadectwo Cezara Borgii, z którym Leonardo, przy stawianiu temu księciu fortec, obcując, miał sposobność, w kwestyach naukowych, matematycznych, mechanicznych i fizycznych, złożyć dowody genialnéj nowości pomysłów i spostrzeżeń; skoro przypomnimy sobie zdumiewające nowością i samodzielnością kierunku pierwsze kroki stawiane w sztuce przez tego oryginalnego młodzieńca, musimy dojść do przekonania, iż syn florenckiego prawnika, urodzony w Vinci, obdarzony był istotnie zdolnościami przechodzącemi o wiele miarę zwykłych zdolności ludzkich, że zdolności te za młodu rozwinął nauką, rozszerzając i pogłębiając zastanawianiem się, wrodzoną bystrość umysłu.

Uprawianie dwóch a nawet wszystkich trzech sztuk plastycznych, przez jednego artystę nie było rzadkością we Włoszech pod koniec XV. i XVI. wieku, owszem każdy prawie uprawiał przynajmniéj dwie, nikogo więc nie dziwiło że uczeń Verocchia malarza i rzeźbiarza zarazem wtedy kiedy się studyom malarskim poświęcał i gotów był cały dzień uganiać się za człowiekiem o wyrazistych rysach, jednocześnie modelował z gliny popiersia kobiet, i dzieci o niesłychanie wdzięcznym uśmiechu. Oprócz ojca nikt nie wiedział ile pracy młodzieniec ten poświęcał na gruntowną naukę matematyki i jak pilnie wykończał swoje oryginalne domowe studya wszelkich zwierząt, nawet najpotworniejszych gadów, albo jaką rozrywkę i osłodę chwil zbywających od nauk ścisłych stanowiła w jego zajęciach muzyka i poezya; czas dopiero pokazał o ile te wszechstronne prace i zajęcia, istotnie wszechstronnego i doskonałego wydały człowieka.

Współczesne świadectwa twierdzą iż Leonardo da Vinci obdarzony piękną powierzchownością, żywém okiem był zachwycająco wymownym, doskonałym jeźdzcem, szermierzem, muzykiem improwizatorem sonetów — oprócz wszystkich innych prac w sztuce i nauce.

W traktacie o malarstwie znanym pod tym tytułem, a który jest właściwie zbiorem uwag zgromadzonych z innych pism Leonarda dokonanym po jego śmierci, a więc niesystematycznym, czytamy często odwoływania się do zupełnego dzieła o perspektywie, nieznanego do dziś dnia, zatem zaginionego. Sam traktat zawiera rozmaite przepisy dotyczące proporcyi ciała ludzkiego, anatomii, ciążenia ciała, perspektywy wykreślnéj i powietrznéj, rzutu cieniów, rysunku, wyrazu twarzy i postaci, malowania i kompozycyi. Niedziw iż człowiek tak wszechstronny, jednostronność w nauczeniu się pewnéj tylko gałęzi malarstwa wyśmiewa utrzymując iż nie ma tak niedołężnego człowieka, któryby usilnie przyłożywszy się do pracy nie nauczył się wybornie malować samego krajobrazu, człowieka, lub samych tylko zwierząt.

Dążenie do doskonałości i wszechstronności w sztukach na sto lat przed Leonardem da Vinci już się było rozpoczęło, nikt jednakże przed nim nie postawił jéj tak silnie i stanowczo, jako obowiązek poświęcającego się malarstwu. Jeden z poprzedników Leonarda, Signorelli, słynął z wybornéj znajomości anatomii, inny Masacio z wyrazistości twarzy i postaci, a z prostoty i naturalności układu, inny znów Giovani da Fiesole z słodyczy i boskości wyrazu: Leonardo złączył w sobie te przymioty i postawił je na wyżynie dyktującéj prawa współczesnym i następnym. Nikt nie dojrzy w ciałach przez niego malowanych nadużycia gruntownéj znajomości anatomii co w Signorellim i Buonarottim uderza, wyraz w twarzach jego postaci idealnych nosi na sobie piętno szlachetności a głęboki i podniesiony zawsze do typu nie wpada nigdy w karykaturę; jako przykład niezmiernego bogactwa pomysłowego pod tym względem służy sławna owa Medyolańska wieczerza Pańska w któréj znajdujemy dwanaście typów izraelskich, wielkiéj wybitności, zupełnie do siebie niepodobnych a utrzymanych w stylu podniosłym i szlachetnym: próbę téj wielkiéj zalety podajemy tu w kopii niniéj znanego obrazu przedstawiającego Chrystusa Pana między uczonymi i kapłanami wykładającego pismo w Świątyni w pierwszych latach rozpoczętéj missyi nauczania.

Powab twarzy młodzieńczych, postaci dziecinnych a nadewszystko kobiecych to jedna z najświetniejszych i najbardziéj wpływowych stron talentu Leonarda. W szeregu piękności które portretował, pierwsze miejsce trzyma owa sławna Gioconda znana pod nazwą Monny Lizy za nią idzie żona złotnika Benci (la bella feroniere) i wiele innych. Ta dążność do pochwycenia wdzięku najpiękniejszych postaci wybranych z pięknéj połowy rodu ludzkiego, podniesienia onych do ideału tłómaczy nam niezmierny wpływ jaki prace Leonarda wywarły na młodego Rafaela Sanzio podczas jego pobytu we Florencyi; typ piękności Leonarda spotykamy też stanowczo od téj chwili w pracach młodzieńca z Urbino, i więcéj niż typ, bo częstokroć cały układ postaci: jak to łatwo dostrzedz porównywając familię S-ą Leonarda (rys. Nr. 3) z madonną di Foligno Rafaela (*).

Jedną z dróg wpływu Leonarda da Vinci była założona przez niego w Medyolanie akademia Sztuk Pięknych; dla tych to uczniów swoich pisał traktaty o sztuce, pierwsze więcéj systematyczne i zupełne zbiory uwag dotyczących teoryi i praktyki sztuki jakie znamy w literaturze świata; gdy bowiem poprzednik Leonarda Cennino Cennini lub współcześnik Lodovico Dolce pisali: pierwszy o samych li zewnętrznych środkach i sposobach użycia materyałów, drugi zaś w dyalogowanéj rozprawie o wyższości téj lub owéj drogi w sztuce ze stanowiska wrażenia jakie dzieła sztuki czynią, Leonarda uwagi z życia sztuki i praktyki tworzenia wyciągnięte, jak najpożywniejsza treść pokarmowa w tęż praktykę natychmiast wejść były w stanie i weszły. Zasady te z czasem przemieniwszy się w tradycyę dobrego nauczania sztuki do obecnéj chwili, czyli to z świadomością czy bez świadomości pierwotnego źródła, po szkołach i akademiach sztuk pięknych bywają w mniejszéj lub większéj rozciągłości nauczane, stanowiąc w umiejętności malarstwa podstawowe zręby, niewzruszenie silne i zasadne.

W téj też szkole medyolańskiéj starał się naówni z Albertim, uczonym i budowniczym wyrugować z architektury styl ostrołukowy barbarzyńskim przez włochów ówczesnych, a ztąd i przez dzisiejszych klassyków, zwany; pod wpływem to Leonarda wyrosła cała szkoła budownictwa lombardzkiego.

W młodości jeszcze swojéj Leonardo da Vinci projektował był połączenie Florencyi i Pizy kanałem wypełnionym wodami Arno, w późniejszym wieku Ludwikowi Sforza budował kanały i szluzy pod Medyolanem, z tych niektóre dotąd istnieją, a dały początek systemowi nawodnienia stanowiącemu bogactwo okolic uprawiających ryżowe pola. Jego też był projekt ufortyfikowania obronnéj linii Po: pomysł który w trzysta lat później a trzynaście lat temu w czasie ostatniéj wojny włoskiéj okazał się być jedyném praktyczném przedmurzém półwyspu włoskiego.

Zamykając tę krótką wzmiankę o ogromnym obszarze wiedzy, tworzenia i działalności o zasługach i pracach tego znakomitego człowieka, podajemy w parafrazie polskiéj udzielonéj nam przez A. E. Odyńca jedyny jego sonet moralny jaki doszedł do naszych czasów. Sonet ten zapewne niegdyś improwizowany przez Leonarda w dobraném gronie, wyższego umysłem i sercem towarzystwa którego był jaśniejącą gwiazdą, lub może śpiewany przez niego przy odgłosie srebrnéj lutni, własnego pomysłu i roboty, świadczy o wysokości nastroju intellektualnego i moralnego téj wyjątkowéj osobistości i usprawiedliwia często przy nazwisku jego napotykamy, przydomek—Wielkiego Lombarda.

Jeśli nie możesz co chcesz, chciéj co możesz,
Gdy być spokojnym i szczęśliwym życzysz...
Niemożebności gwałtem nie przemożesz,
Lecz ją usuniesz, gdy chęć ograniczysz.

Szaleniec tylko i głupiec, w swéj dumie
Mniema że wszystko po swéj woli nagnie,
Mędrzec co prawdę wszechrzeczy rozumie
Wie co podoła—i więcéj nie pragnie.

Lecz i nie wszystko, co mieć możesz snadnie
Plon spodziewanéj przynosi słodyczy,
Jak w głębi w kwiatu jad ukryty na dnie
Zgryzotę znajdziesz w rozkoszy zwodniczéj.

To szczęście tylko jest pewném i stałem
Co z powinnością da się zgodzić społem,
Ja co to piszę nieraz już płakałem
Na to żem osiągł co w przód mieć pragnąłem.

Ty więc, słów moich czytelniku miły,
Chcesz ustrzedz w sercu pokój i niewinność?
Celu twych żądań nie stawiaj nad siły
Ani rozkoszy nie kładź nad powinność.

W. G.

*) Bardzo dobra kopia tego ostatniego obrazu wykonana przez ś. p. Ksawerego Kaniewskiego, znajduje się w muzeum obrazów w Warszawie.

IDEALIZM I MATERYALIZM

rozważane ze stanowiska szkoły idealno-realnéj

skreślił

Klemens Łuczyc.

(*Dalszy ciąg. Ob. N. 30*).

Bez względu na to, że napotykają się tu trudności nie do zwalczenia, materyalizm zawsze wpada w sprzeczność, ile razy usiłuje przeprowadzić i uzasadnić taką klassyfikacyę. Wyróżniać okoliczności przyjazne i nieprzyjazne można pod warunkiem, że mamy wiedzę pewnego następstwa, że przewidujemy jakiś wypadek, który tylko dla braku sprzyjających okoliczności nie miał sposobności objawić się na zewnątrz; tymczasem według zasad materyalizmu cała działalność umysłowa jest przypadkową, jest następstwem przypadkowego zbiegu wpływów zewnętrznych i przeobrażeń mózgu; ztąd każdy objaw ducha, bez względu na jego treść i tendencyę, jest racyonalny, ma znaczenie prawdy. Wyróżnienie okoliczności przyjaznych i niesprzyjających stoi nietylko w sprzeczności z zasadami materyalizmu, ale jeszcze nie zgadza się z faktami, poczerpniętemi z doświadczenia; materyalizm zaś ma to do siebie, że lubi powoływać się na

doświadczenia. Jakoż nic powszechniejszego nad to, że o jednym wypadku lub fakcie, ludzie znajdujący się pod jednakowemi warunkami, wygłaszają *wprost* przeciwne zdania; w takim razie różnica poglądu spoczywać musi we własnościach nerwów i mózgu, nie zależąc bynajmniéj od wpływów zewnętrznych okoliczności.

Materyalizm powinien z zasady uznać wszystkie pojęcia, sądy, zdania i wnioski za prawdziwe; czyli powinien wszystkie stany i przeobrażenia mózgu uznać za normalne. Gdyby przeciwnie chciał wyróżniać stany mózgu prawidłowe od nie normalnych, wpadłby w sprzeczność ze swemi zasadniczemi twierdzeniami; albowiem o takiém rozgraniczeniu można mówić tylko pod warunkiem, że mózg rozwija się i kształci podług stałych praw. Ale czyż może materyalizm przyjąć jakąś normę, jakieś prawo rządzące rozwojem mózgu i umysłowości? Siły działającéj celowo, podług pewnego planu, materyalizm nie uznaje. „Przypadkowo powstał człowiek, uczą materyaliści; przypadkowo łączą się siły i zbiegają atomy; byt i trwanie człowieka również niema podstaw pewnych, każdéj chwili jest on narażony na nieprzywidziane przypadłości i t. d." jednem słowem, żyjemy w kole przypadłości; zewsząd otoczeni możliwemi niespodziankami; wszystko — wschodzące i gasnące—jest ślepą, bezwiedną grą przypadku.

Pomimo tych uderzających sprzeczności, wyróżnienie prawidłowych i niemoralnych stanów mózgu, przyjmowane dla wytłómaczenia różnic poglądów, jest fikcyą; doświadczenie albowiem pokazuje zupełnie co innego. Dotychczasowa fizyologia nie dostrzegła żadnéj charakterystycznéj różnicy pomiędzy mózgiem idyoty i mędrca; również jest faktem niezbitym, że różnią się w zdaniach nietylko ludzie rozmaitego stopnia wykształcenia, ale przeciwnie najwięcéj nie zgadzają się w poglądach uczeni i w ogóle ludzie stojący blizko siebie pod względem położeń zewnętrznych. Zadaniem oświaty jest właśnie złagodzenie owéj rozmaitości poglądów, jest skupienie wszystkich koło prawdy, która posiada tę własność, że skoro tylko jest wykryta, opanowywa umysły, ujarzmiając i wyswabadzając je zarazem.

Materyalizm nie zastanawia się nad temi kwestyami. Ponieważ zdaniem materyalisty produkcya myśli i postęp wiedzy zależą całkowicie od stanu i właściwości mózgu, przeto nie uznaje on ani prawd odwiecznych, powszechnie obowiązujących, ani przesądów godnych wytępienia. Materyalizm nie usiłował wytłómaczyć, jak powstają wnioski o mylności naszych poprzednich przekonań, czyli innemi słowy — czém to się dzieje, że wrażenia zewnętrzne, pobudzając mózg do wydzielenia pewnéj ilości myśli, stwarzają zarazem wyobrażenie, że poprzednie nasze zdanie było mylne, a świeżo pozyskane jest prawdziwe. Postęp wiedzy, wytępienie przesądów, rozpowszechnienie trzeźwych przekonań, zdaniem materyalistów, zależy od ulepszenia i udoskonalenia mózgu. Zachodzi pytanie, jak się to dzieje, że potrzeba udoskonalenia mózgu powstaje w umyśle pierwéj, nim mózg został ulepszony? jak nieudoskonalony jeszcze mózg stwarza wyższego gatunku myśli, t. j. takie, od których wykonania i zastosowania zależy ulepszenie mózgu? Tych kwestyj materyalizm nie podejmuje się rozwiązać. Również pozostanie na zawsze zagadką, gdybyśmy chcieli tłómaczyć zagadnienia z materyalistycznego punktu widzenia, fakt porozumienia się między ludźmi, oddzielonymi od siebie całą przepaścią warunków klimatycznych i kulturowych (tak Negr i Chińczyk doskonale rozumieją myśli Europejczyków). Nakoniec, wiemy z fizyologii, że materya mózgu i całego systemu nerwowego ulega ciągłéj przemianie, ciągłemu odnawianiu się; zachodzi więc pytanie, jak przy téj zmienności materyi może się myśl utrwalić, powiązać się w łańcuch nierozerwany z pokrewnemi ideami, następnie być poddaną analizie i t. d., i t. d..?

Materyalizm burzy i łamie wszystko: zaprzecza idealizmowi, odrzuca obowiązujące prawdy i neguje swobodę woli. Człowiek nie ma swobodnych postanowień; wszystko cokolwiek czyni człowiek, czyni to z musu, z konieczności, ulegając fizycznym i chemicznym prawom, rządzącym ogólnym biegiem zjawisk. Jak spada rzucony kamień, jak toczy się na pochyłości kula, tak i człowiek porusza się w zakreślonym mu obrębie, nie będąc w mocy ani przyśpieszyć, ani opóźnić swego biegu. Człowiek, jak każda inna rzecz, jest to zjawisko zmysłowe, podległe warunkom otoczenia, jest to istota bierna, zależna w postanowieniach i wyborze; powstanie i byt człowieka zależą od przypadkowego zbiegu i współdziałania ogólnych sił, rządzących ogółem zjawisk; jego istota nie przedstawia żadnéj odrębności, wyróżniającéj go z ogółu zjawisk, a jego wola nie ma żadnéj samodzielności; istnienie człowieka jest przemijającym momentem w ogólnym pochodzie życia zmysłowego, dążącego bez świadomości celu i przyszłości, bez wiedzy początku i końca swych losów. W tym szerokim potoku życia człowiek niemocen jest coś począć z siebie, coś skierować według swych życzeń lub coś uchylić.

Zaprzeczając swobodzie woli, materyalizm zdejmuje z człowieka odpowiedzialność za uczynki. Konsekwentny materyalista odrzuca różnicę między cnotą a występkiem. Musielibyśmy chyba powtarzać znane wszystkim ogólniki, gdybyśmy chcieli w całości przedstawić doktrynę materyalistyczną; poprzestajemy więc na tych uwagach, dających wszelako pobieżne wyobrażenie o rozciągłości i konsekwencyach téj doktryny, które, dodajemy, zawierają w swojém własném łonie sprzeczności, i nie mogą liczyć na trwałość. Przejdźmy do innych kwestyj.

Przytoczone zarzuty i uwagi nie obalają materyalizmu całkowicie; dotyczą one tylko jednéj strony materyalizmu, mianowicie jego roszczeń do powagi doktryny filozoficznéj, jego pretensyi do znaczenia systematu scyentyficznego. Zarzuty owe czerpaliśmy w rozumowaniach materyalistów, wykazując ich sprzeczność i stronę odwrotną; z tego przeglądu, aczkolwiek pobieżnego, wyprowadziliśmy następujący wniosek: jeżeli umysłowość (w znaczeniu najrozleglejszém: myśli, zdania, poglądy, systemata, doktryny) jest związana z procesami natury, a mianowicie przeobrażeniami mózgu i systemu nerwowego, to, jak się pokazało, niema prawd powszechnych, niema wiedzy, nie ma poznania; wypływa ztąd, że materyalizm także nie jest prawdą, bo w ogóle niema żadnéj pewności.

Prostą konsekwencyą materyalizmu jest sceptycyzm—t. j. zaprzeczenie wszystkiemu i powątpiewanie o wszystkiém. Zgadzamy się, że materyalizm ma znaczenie hypotezy, ale roszczeń jego do godności doktryny scyentyficznéj uznać nie możemy, albowiem obala on sam siebie.

Dotychczas walczyliśmy przeciwko materyalizmowi jego własną bronią, lecz materyalizm ma swoją poważną stronę. Trzeba dowieść, że fundament, na którym on zbudowany, jest chwiejny; trzeba wykazać, że fakta, na które powołuje się materyalizm, nie posiadają takiéj oczywistości i pewności, jaką im przypisują materyaliści, i nie upoważniają do tych wniosków, jakie z nich wyprowadzają; trzeba, jedném słowem, obalić punkt wyjścia i oparcia materyalizmu. Punktem wyjścia materyalizmu są nauki przyrodzone; na rezultaty badań przyrodników powołuje się materyalizm i na nich opiera swoje wnioski.

Powoływanie się na świadectwa nauk przyrodzonych zgadza się także z duchem czasu, z realistyczno-praktyczną tendencyą XIX wieku. Pod tym względem materyalizm położył pewne zasługi: udało mu się bowiem wyrwać filozofię niemiecką z nadpowietrznych, mglistych mrzonek spekulacyi i sprowadzić ją na drogę rozumnéj scyentyficznéj pracy; dowiódł materyalizm, że fakt jest taką potęgą, w obec któréj żadna czysta myśl, żadne oderwane spekulacye, żadna dowcipna dyalektyka nie wytrzymują krytyki. Rzeczywiście, świadectwo faktów jest *jednym* z najgłówniejszych czynników myślenia, a zatém — poznania i wiedzy.

Mamy właśnie zamiar wziąć pod rozwagę ów punkt wyjścia materyalizmu — świadectwa nauk przyrodzonych i potęgę faktów. Ulrici zapytuje się: „Dla czego materyalizm zaprzecza bytowi ducha, a nie zaprzecza bytowi ciała? Zkąd w ogóle pochodzi to, że powątpiewamy o duchu, a nie podajemy w wątpliwość bytu ciała? Najbliższa odpowiedź na to jest, że ciało widzimy, dotykamy, czujemy, słyszymy i t. d., jednym słowem przekonywamy się o bycie ciała za pomocą zmysłów. Ale materyalista, który daje tę odpowiedź, nie zaprzecza realnego bytu i takim rzeczom, takim ruchom, siłom, których nie może widzieć, słyszeć lub dotykać; nie wątpi materyalista, że ziemia jest okrągła, że się obraca około słońca, chociaż widzi zupełnie co innego; nauki przyrodzone i materyalizm nie zaprzeczają siły ciążenia, prawa chemicznego powinowactwa, chociaż to są siły także nieujęte i niewidzialne, jak dusza. Sprzeczność tę rozstrzyga logika, dowodząc, że na mocy zasadniczych właściwości naszéj stoty, byt realny przypisujemy temu i tylko temu, co, według prawa myślenia, musimy pojmować jako mające byt realny, bez względu na to, czy przyszliśmy do twierdzenia za pomocą zmysłów lub refleksyi. Wszelka pewność i oczywistość, uczy nas daléj logika, polega na współdziałaniu dwóch czynników myślenia: pierwszym i głównym czynnikiem są zasadnicze właściwości myślenia, tak zwane logiczne prawa i normy (Kant—kategorye); drugim—wrażenia i wpływy zewnętrzne, pobudzające myślenie do reakcyi czyli oddziaływania. Dla tego nie możemy powiedzieć, że A nie jest A, że A=B, że A=non A i t. d.

(d. c. n.)

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 30).

— Gdzież to stryj bywał? spytała pani domu.

— A—u Borodzicza!

— I tak prędko z powrotem—czy niebyło go w domu?

— Był... był... a jeszcze i gość...

Zaczął już tylko ręką trząść, nie mogąc daléj mówić.

— Gość! gość! powtarzał...

— Któż to taki?

Eligi wstał aż z ławy, ręce tragicznie załamał:

— Gość... a no kto? kto? jak ja to mam powiedzieć?

— Któż taki u Boga? śmiejąc się zawołała Elżusia.

— No, Zygmunt! Zygmuś Piętka! na rany Pańskie! on sam!

Elżusia pobladła i uśmiech zszedł z jéj ust prędko, rękę przesunęła po czole... nie odpowiedziała nic, ani spytała więcéj.

— A tak! a tak! mówił szybko Eligi—on sam... taki jak był... tylko w mundurze wojskowym... z ostrogami... wąsy ogromne—bledszy...

Niewyraźnym głosem po chwili dopiero Elżbieta się odezwała:

— Cóż tak dziwnego! mógł mieć interes do Borodzicza... albo się z nim chciał widzieć.

— A jak, broń Boże—tu przyjedzie? zawołał stryj Eligi—to co? to co?

— On tu przyjechać nie może—odpowiedziała uspakajając się Elżunia—stryj wiesz dobrze, iż to nie może być.

— Hm! albo ja wiem co u niego może a co niemoże być, jak skoro mu szpary odeszły... Waćpani tego nie wiesz, że on zawsze i wszędzie do żony ma prawo... a rozwodu ani separacyi nie było.

— On tu nie będzie śmiał przyjechać! powtórzyła Elżusia stanowczo marszcząc brwi czarne... Stryj naprożno się lękasz...

—Niech będzie tak—niech będzie tak! niech nie śmie!—rzekł Eligi. Ja, prawdę po wiedziawszy, leciałem tak dla tego przez pola, przez miedze... bez drogi, aby prędzéj dać znać, żeby się na ostrożności mieć... bo —kto wie?

— Ale dajże pokój stryju Eligi, z gniewem prawie poczęła kobieta... widzisz, że ja się nie lękam...

— No, to dobrze! to dobrze!.. szepnął Eligi—a jabym zawsze do Wulki posłańca pchnął—bezpieczniéjby było, żeby brat przyjechał, i bratowa i służba... i więcéj ludzi.

— Cóż myślisz, że on mnie będzie wykradał? pozśmiała się Elusia — wie dobrze, iż nie należę do tych, co się wykradać dają. Dość tego—dodała—dość tego.

I gniewna odwróciła twarz, a biedny stryjaszek zamilkł... Nie ośmielił się już nawet wspomnieć o tém przy wieczerzy, z pod oka spoglądając na synowicę bojaźliwie, a w duchu zawsze mówiąc, swoje:—Herod-baba!

Elżusia pomimo największego starania, ażeby się wydać spokojną i wcale wiadomością nie poruszoną, tego wieczoru i następnego dnia nie swoja była, bardziéj jeszcze niż kiedykolwiek milcząca, smutna, podrażniona. Stryj Eligi byłby przysiągł, że oczy miała czerwone...

Dzień przeszedł bez żadnego wypadku, bez żadnéj wiadomości; następowała niedziela, a zwykle Elżbieta z siostrzeniczką bywała tego dnia na nabożeństwie w parafialnym kościele. Z rana było nieco pochmurno, zdawała się wahać, jechać czy nie,potém pomyślała może, iż ją posądzą o tchórzowstwo, konie zaszły, stryj Eligi się przystawił — pojechali. Mówiło coś, jakiś głos potajemny Elżusi, iż ona go tam zobaczy... Któż wie, może to nie było jéj obojętne? może zobaczyć go pragnęła?..

Gdy konie zatrzymały się przed drewnianym kościołkiem... u drzwi znalazła wysiadając Borodzicza, który rękę jéj podał i wprowadził—Zygmunta tu nie było... Mowy o nim w kilku słowach żadnéj... Gdy wziąwszy święconéj wody ze staréj granitowéj kropielnicy, oczy podniosła w prawo, pod chorągwią uderzył ją mundur i postawa... Nie widząc twarzy poznała Zygmunta. Stał właśnie przy téj ławce kollatorskiéj oparty w któréj ona siadać była zwykła... Zawahała się, lecz zmienić miejsce byłoby okazać obawę... zwrócić oczy... Musiała więc iść do téj ławki, przejść obok niego... siąść tuż. Mimowolnie podniosła wzrok i spotkała wejrzenie Zygmunta, który na nie czatował. Piętka jakby obcy a ledwie znajomy człowiek, nie okazując wzruszenia, cofnął się przez grzeczność o krok czyniąc jéj miejsce i ukłonił się. Pani Elżbieta nie wiedziała już sama czy mu ten ukłon oddała, drżąca wsunęła się do ławki z małą Kasią, klękła, złożyła ręce, spuściła głowę i zaczęła się modlić. Nie śmiała ani oczu podnieść, ani głowy obrócić, żeby znów z nim się nie spotkać. Całą mszę przeklęczała nieruchoma prawie, nie wiedząc co się w koło działo... modliła się nierozumiejąc słów modlitwy... dreszcz ją przebiegał. Napróżno usiłowała się uspokoić, pohamować pomięszanie, które ją ogarnęło, mimo władzy jaką miała nad sobą—było to dla niéj niepodobieństwem.

Zygmunt stał prawie tak samo wzruszony i niepewien siebie, obawiając się zdradzić... Niekiedy ukradkiem spoglądał na żonę—znajdował ją jak skamieniałą, nieruchomą w jednéj postawie... Myślał, że choć przez ciekawość spojrzy nań jeszcze—nie zwróciła się już ku niemu. Widocznie umyślna była ta nieruchomość, ta straż nad wzrokiem. Miarkując że uparte stanie przy ławce będzie natrętném domaganiem się przymusowego spotkania przy wychodzeniu z kościoła — Piętka gdy suplikacye zaczynano, odsunął się od ławy i przeszedł ku ścianie, przy któréj stał konfesyonał. Ukryty zań mógł ją widzieć wychodzącą nie zmuszając do spojrzenia na siebie— przychodziło mu na myśl wyjść przed kościół i tam czatować na siadającą do powozu... potém się wyrzekł téj pokusy.

Suplikacye się skończyły, modlitwy, wszystko, zakrystyan gasił światło, parafianie wychodzili, kościołek na pół był pusty, gdy żywo wstała Elżusia z miejsca, wzięła książki, szepnęła słowo małéj Kasi i poważnym krokiem skierowała się ku wyjściu... Nie zobaczyła Zygmunta, z czego zdawała się być rada... i nie oglądając się już pośpieszyła do stojącego powozu. Borodzicz zawsze jéj rękę podawał i Kasię podsadzał, uczynił to milcząc, wedle zwyczaju, skłonił się, nie powiedział słowa i odstąpił. Stryj Eligi dopiero na gościńcu odetchnął i za cmentarzem się odezwał:

— Stał koło ławki! Czy Elżunia go nie widziała? Jak Boga kocham, stał koło ławki!

— Owszem, widziałam go i—ukłonił mi się— odpowiedziała synowica.

— Ukłonił się! ukłonił się! zawołał stryj— śmiał się ukłonić.

W milczeniu pojechali do domu...

Nazajutrz Eligi wyprosił sobie wózek i parę koni ze wsi, piekło go strasznie, żeby bratu o tém donieść co się tu działo, gdyż w Wulce wcale o niczém nie wiedziano.

Od dawna żaden wypadek tak poczciwego stryjaszka żywo nie obszedł, jak teraz przy-



Chrystus nauczający w Kościele. Kopia z obrazu Leonardo da Vinci. (133)



Święta rodzina. Kopia z obrazu Leonardo da Vinci. (134)

bycie Piętki—roiły mu się po głowie najosobliwsze, najstraszliwsze następstwa... drżał... truchlał. Chwilami był tego przekonania, iż wypadało zawezwać siłę zbrojną w pomoc przeciwko napastnikowi, przypisywał mu złowrogie zamiary, dziwił się że nikt tego co on nie przewidywał, i że Borodzicz mógł dawać schronienie tak niebezpiecznemu człowiekowi.

Poleciał więc do państwa Okoniów i ledwie z wózka wpadł do brata.

— A co? nie mówiłem? zawołał nie witając się nawet. — On tu jest! u Borodzicza siedzi. Był w kościele, na moje oczy go widziałem... Wstąpił do wojska.

— Ale któż? któż? spytał brat przestraszony.

— Kto? któż ma być? on! on! w mundurze!

— Kto na miłość Boga?

— Piętka, ten szaleniec... Zygmunt! Jakże się brat nie domyślasz?

— A zkądże się mam domyślać? Zkądże się wziął? jak? mów!

— Nikt nie wie! jak z pod ziemi! Borodzicz go trzyma... jest oczywiście w spisku.

— A Elżusia?

— E! e! Herod-baba! Ta nic! ona się i dyabła nie zlęknie! Co jéj!

— To czegoż my się mamy lękać? spytał stary Okoń.

Stryj ruszył ramionami.

— Ja wam powiadam że będzie nieszczęście. To szalona pałka, wiadomo! Z oczu mu patrzy, że on się jeszcze w niéj kocha... gotów się jeszcze dopuścić nie wiem jakiéj ostateczności...

— Et! bredzisz Eligi! dałbyś pokój! opowiedzże mi lepiéj co wiesz o nim... Trzy lata go nie było...

— Tyle tylko wiem, że w mundurze, a więc służy gdzieś w wojsku... a że on tu nie darmo przyjechał, to pewna...

Nadeszła pani Okoniowa, podzielająca zupełnie obawy Eligiego, rozmowa wszczęła się gorąca, zaczęto radzić, i ostatecznie wypadło by Okoń z panem Eligim na odsiecz słomianéj wdowie śpieszyli. Stryj tak naglił że tylko na prędce bigosu trochę zjadłszy, nie czekając obiadu, wyruszyli oba... nie żałując ani siebie, ani koni poniegodziwéj drodze.

Tymczasem żadne w istocie nie zdawało się grozić niebezpieczeństwo. Po powrocie z kościoła, Zygmunt spokojniejszy a nawet weselszy, na wniosek Borodzicza, zgodził się pojechać do Mioduszewskiego.

Mioduszewski dawniéj Zygmusia nie bardzo lubił; potém za tę swoją, jak ją nazywał „Królową” miał do niego okrutny żal; na ostatek — a z kośćmi dobry był człowiek—ulitował się nad losem biedaka, i widząc położenie wdowie kobiety, ciągle wzdychał do tego żeby małżeństwo pogodzić, i żeby po bożemu żyć mogli.

— Bo co to, mospanie, mówił często jeszcze przed przyjazdem Zygmusia—bo co to za życie téj kobiety! Śliczności *osoba!* młoda, poczciwa, zacna i ma tak nadaremnie więdnąć, cudze dzieci niańcząc... Szkoda jéj i szkoda jego... przecież się to musiało wyszumieć i dosyćby było pokuty!

To było przekonanie Mioduszewskiego, który się z niém nie krył wcale.

— Jedno z dwojga, albo niech się zwiodą albo rozwiodą, a takie życie ni w pięć ni w dziewięć, jedno do Sasa drugie do lasa — to obraza Pana Boga! I szkoda, mosanie, takiéj pięknéj kobiety, żeby się tak marnowała.

Mioduszewski wielki wielbiciel saméj pani, wedle swego przekonania, działał w jéj raczéj interesie niż Piętki, który mu był obojętnym. Wolałby był dla jéjmości kogo innego, to pewna, ale kiedy już tego pan Bóg dał—a! no trzeba była akomodować się woli bożéj.

Widział on Zygmunta w kościele i zaraz Borodzicza wziął na bok.

— Na rany Pańskie, szepnął mu: kiedy on tu już raz jest, postarajmyż się żeby ich z sobą zładzić. Co było a nie jest to nie pisać w regestr... Dołóżmy pracy i starania, a zbliżmy ich.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA

Paryż 28 marca.

Obowiązki korespondenta paryzkiego były przed kilku laty bardzo łatwą zabawką. Hogartowska maniera zastosowana do pióra, służyła na onczas za niechybny środek zjednania sobie względów publiczności — a tło wesołe, na którém wirowały codzienne wypadki, dodawało piszącemu swobody. Humorystyka o jaskrawych skrzydełkach, dotykająca z lekka przedmiotów, trzymała w korespondencyach pierwsze miejsce. Kilka głośnych skandalów zręcznie udramatyzowanych — tu i owdzie, niby od niechcenia, rzucona literacka tarantula lub skorpion — kilka łakoci dla dam, w formie dwuznaczników — słówko o scenie, — otoż i korespondencya. Poważniejszéj struny nie wolno było dotknąć — przeszkadzała trawieniu. Im więcéj cuchnęła korespondencya paryzkiemi brudami, tém była milsza dla niektórych dzienników krajowych. Dzięki Bogu, że są dziś u nas pisma mniéj wybredne, których owa delikatna woń wcale nie nęci — pojmują one inaczéj swoje zadanie — ztąd też ludzie piszący, którzy z usposobienia wewnętrznego, nie są zdolni do chemiczno-literackiéj pracy, mają obecnie otwarte pole służenia uczciwie krajowi. Lecz że nie ma nic bez ale, znalazło się też jedno i na tém polu (przynajmniéj dla mnie) które mnie niepomału mitręży. Tło obecne, na którém wiją się tu wypadki i ludzie, nie podobne wcale do dawnego: pływa jeszcze po niém odblask świeżo zagasłych łun i czerwienieją plamy krwi. — Ponura ta barwa nie prędko się zetrze — to też każda nowa korespondencya nabawi mnie niepospolitego kłopotu, bo nie mam serca do rzeczy wesołych, a humorystyka moja w wielkiém jest utrapieniu, gdyż ma skrzydła ołowiane.

Niejedna może dama czytając te wyrazy, powie sobie: *Voilà un correspondant bien agaçant.* Co może nas obchodzić, że go napadają smutki?... Kiedyś grzyb, leż w kosz — *pas de jeremiades...*

Ależ, moja szanowna i śliczna pani, chciéj łaskawie być trochę wyrozumiałą. — Skarga moja była tak w celu udobruchania czytelników jak równie z pewnéj pobudki wewnętrznéj, bardzo niewinnéj: wiadomo wszystkim, że są ludzie co się boją w nocy duchów, i dla dodania sobie animuszu śpiewają głośno czasem najdziksze piosenki, albo też gwizdają — inaczéj nie mieliby odwagi przejść boru — inni znowu, aby przeskoczyć rów, potrzebują wpierw rozmachać się.

Z powodu humorystyki, znajduję się w podobném położeniu — a więc dla rozmachania się, zacząłem od gawędy. — Uspokój się więc szanowna pani — zakładam sobie wędzidło i wchodzę w legalne granice mego obowiązku.

Nic się tu nie zmieniło od miesiąca, zgoła nic: u szczytów społecznych ślepota, głupota i zła wiara; u dołu, hydra ludowa okiełznana siłą, gryzie wędzidło i czeka chwili odwetu. Paryż i Wersal patrzą na siebie z ukosa. Thiers, w nowéj roli sfinksa, zamknął tak szczelnie w swéj czaszce narodową zagadkę, że nikt jéj ani liźnie. Niejeden ze wzdychających pokątnie do tronu pretendentów i ich koryfeusze, radziby rozłupać tę czaszkę i zajrzeć do niéj jak małpa w zgryziony orzech — ale orzech ten zgryźć niełatwo. Złe języki monarchiczne, twierdzą że owa czaszka jest nową puszką *Pandory*, z któréj rozleją sęi na Francyę tysiączne biedy. Niektórzy republikanie są tegoż samego zdania, tylko w znaczeniu odwrotném pierwszemu. Bądź co bądź, to jednak pewna, że w téj przejściowéj chwili, ze wszystkich ludzi dawnego i nowego etatu, on jeden posiada dziś siłę zbezwładniającą złe zamiary pretendentów. Czy zdoła on, aż do chwili zupełnego spłacenia długu Prusakom, utrzymać się w pozycyi medyatora, jest to rzecz problematyczna. — Zdaje mi się jednak, że chęci jego są dobre, i że danemu słowu nie skłamie. Wszakże jak mówi francuzkie przysłowie: „*Il ne faut jurer de rien*”.

Thiers jest dzisiaj osią, na któréj wszystko się obraca. Jest to *Człowiek-Barometr*: kiedy oko jego przez okulary zwiastuje pogodę, papiery idą w górę i w świątyni Plutusa (*la bourse*) rój spekulantów burczy weselem; niechże Thiers dostanie kataru, cała Francya w gorączce, a ów radośnie brzęczący rój, jak trutnie bez miodu, z opuszczonemi skrzydełkami kroczy bezładnie pomiędzy filarami świątyni, i w téj melancholicznéj promenadzie naradza się nad środkami, któreby mogły godzinę pogrzebu tego męża stanu uczynić przychylną dla ich kieszeni.

Wszystkie te symptomata są bardzo złym znakiem, bo w kraju gdzie nie ma zasad pewnych, gdzie ustawy są niczém, a człowiek wszystkiém, tam słońce zachodzi zawsze czerwono, a jutro zawsze niepewne.

Jeśliby Thiers umarł przed czasem, to niechybnie wojna domowa rzuci znowu kraj cały w najokropniejszą anarchię, która sprowadzić może najzgubniejsze następstwa.

Francya dobija się dziś obojętnością polityczną. Ktoby pomyślał, że w kraju, który od lat 80-ciu kilku żyje w ciągłych konwulsyach rewolucyjnych choroba ta mogła się zagnieździć? a jednak tak jest istotnie. Ciągłe gorączkowe ruszanie się, bez wytkniętéj drogi i wyraźnie oznaczonego celu, jest po prostu szaloną *ślepą-babką polityczną*, w zaklętém kole, gdzie po każdym nowym przebiegu, zwraca się zawsze do punktu, z którego się wyszło. Te ciągłe manowcowe zawody sprowadziły znużenie ducha; zatęsknił więc naród do odpoczynku — osiągnąwszy go, doszedł do dobrobytu i skosztował najwykwintniejszych rozkoszy życia, które tak umiłował, że mu się stały drogą i celem. Jeśli chyli się dziś ku formie monarchicznéj, to jedynie dla tego, że brzmi mu ciągle w uszach formułka Proudhona: „*La propriété c'est le vol*”, i sądzi, że monarchia jest jedynym puklerzem, pod którego opieką będzie mógł pewniéj i spokojniéj używać. Rachuby próżności i osobistego interesu niemało też ważą na téj szali. — Pod kogutem, lub pod liliami, można liczyć na krzesła senatorskie dobrze płatne, na synekury, wstążeczki, na bale u dworu etc. etc. Dla tutejszego mieszczanina, perspektywa takiego obrazu jest słodszą, niż dla wyznawcy Koranu raj Mahometa. Rozmowa, jaką miałem w tym przedmiocie przed kilkunastu laty z człowiekiem zajmującym niepoślednie stanowisko, popiera moje twierdzenie. — „Znasz pan” rzecze mi, „Azora, brytana, co strzeże na łańcuchu mego wiejskiego domu?”... A jakże... wszakże to mój wielki przyjaciel. „Otoż powiem panu, że tak wielki mam wstręt do polityki, tak mnie znużyły te ciągłe przewroty rewolucyjne, które do nicze-

go nie prowadzą, że gdyby jaka dobroczynna wróżka stanęła przedemną i rzekła: Dam ci pokój, którego żądasz, ale pod warunkiem, żebyś uznał za naczelnika narodu Azora, *bien entendu avec un ministère responsable*, to bez chwili namysłu odrzekłbym: zgoda! Chcesz?... a więc natychmiast wotuję na mego brysia. Niech zostanie prezydentem, królem absolutnym lub konstytucyjnym, to mi wszystko jedno, forma nic nie znaczy. A ponieważ należę do gwardyi narodowéj, jak wypadnie na mnie kolej służby przy jego budzie, będę z rozkoszą prezentował przed nim broń — przy audyencyach gotów jestem nawet całować go w łapę, bylem mógł tylko używać spokojnie mego dobrobytu, *et que je n'entende plus jamais ces maudits tambours battre le rappel; car cela me donne sur les nerfs et trouble ma digestion.*" Czyż może być większy dowód obojętności politycznéj? Za prawdziwość tych wyrazów, ręczę honorem.

Kiedy w zeszłym roku, w chwili zawieszenia broni, Francya powołana została do obrania nowéj izby, agenci pretendentów przebiegali wioski, namawiając chłopów, aby wotowali na ich kandydatów. Jeśli, mówili, obierzecie ludzi, których imiona są na naszéj liście, to będziecie mieli monarchę, który z własnéj kieszeni zapłaci Prusakom koszta wojenne, nie dacie ani grosza, i zacznie się nowa era, w któréj będzie mógł każdy używać spokojnie owoców swojéj pracy. Znęceni tą grubą przynętą wiejscy elektorowie, szli jak bydło wotować na podane sobie imiona. To co tu przytaczam, opowiadał mi jeden z merów (maire) departamentu de la Drôme, wracający z wyborów. Poczciwy ten człowiek, mówiąc mi o tém, wściekał się ze złości i przeklinał godzinę, w któréj się narodził.

Jeszcze słówko o kramarzach (*les boutiquiers*). Jest to najwięcéj zacofana warstwa miejskiéj ludności. Główną cechą ich charakteru, jest głupia chełpliwość, nizkość moralna, pycha, zarozumienie, i przeczenie absolutne wszystkiemu, czego ich głupi rozum nie pojmuje. Z téj przyczyny są oni naturalnymi nieprzyjaciołmi wszelkiego postępu moralnego, wszelkiego ruchu. Falanga ta, któréj przewodzi złocone mieszczaństwo, (*la haute bourgeoisie*) tworzy z pewną częścią wiejskiéj ludności stronnictwo monarchiczne.

Lud, którego ciężka a nieustająca praca jest źródłem bogactwa krajowego, widząc, że ci, którym przysparza dóbr ziemskich, nie myślą wcale jakby mu osłodzić życie i zapewnić na starość kęs chleba, narzekają na egoizm, na niesprawiedliwość, i słusznie — bo jakaż dla biednych wyrobników, co zużyli siły przy téj pracy wzbogacającéj kraj, zostaje perspektywa na starość?... szpital, lub nędza. — Ci, na których leży obowiązek opieki nad ludem, nietylko że mu jéj nie dają, ale co gorsza, stawiąc mu zgubny przykład rozpusty, sceptycyzmu i braku wszelkich zasad potępiają w nim w imię religii to czego się od nich nauczył. Straszliwy ten tartufizm jednych, stojących pod godłem koguta, złotych pszczół, lub lilij, wywołał antagonizm drugich, którzy stanęli pod sztandarem republikańskim, nie dla tego, że ten sztandar przedstawia ideę polityczną, ale dla tego, że odkąd przeszedł w ręce socyalistów, jest obietnicą dobrobytu i używania — z poniżeniem kast, które mają dziś monopol używania. Jedni więc i drudzy, zredukowali wszystko do kwestyi brzucha. Ztąd ruchliwość krzykaczy ludowych, nie mająca na celu ani ojczyzny, ani religii, ani postępu moralnego ludzkości, nie jest czem inném, jak tylko jednym z symptomatów politycznéj obojętności.

Paryż coraz z większą goryczą narzeka na ciało prawodawcze, że trzyma się oddalone od stolicy. Pogańska ceremonia oprowadzania tryumfalnie po ulicach w dni zapustne tłustych wołów, przechowywana od wieków w Paryżu, odbyła się w tym roku w Wersalu. Cech rzeźniczy podzielony jak zwykle na małe falangi, eskortował konno te nieszczęśliwe zwierzęta: — jedni przebrani za rycerzy, w błyszczących zbrojach, w szyszakach z piórami; drudzy przebrani za knechtów lub kopijników, a wszyscy wypasieni jakby na zarżnięcie, z rumianém licem, chłop w chłopa, kroczyli z wolna i poważnie wśród miasta, a tłum gawiedzi posuwał się w ślad za orszakiem, przypatrując mu się ciekawie, bo było to widowisko nieznane w Wersalu. Kiedy defilowano obok mieszkania Thiersa, zaszło dziwne zdarzenie: król wołów, grubszy, większy i poważniejszy od swoich rogatych towarzyszy, zatrzymał się nagle i nie chciał ruszyć się z miejsca, a gdy go zmuszono do pochodu, ryknął tak przeraźliwie, że wszczął się popłoch w tłumie a szczególnie między kobietami, których zwykła wrażliwość stała się przyczyną mnogich komentarzy i najdzikszych przypuszczeń. — To znak złéj wróżby, rzecze jedna. — Jakaś straszna znowu grozi nam katastrofa, wykrzykują inne. Co do mnie, nie doznałem wcale podobnego wrażenia; nasunęła mi się tylko na myśl betleemska stajenka, gdzie jak podanie niesie, wół i osieł poznały święte dzieciątko i uklękły przed nim, i pomyślałem sobie: Daj Boże, aby ci, co tu obradują codzień i trzymają w ręku losy Francyi, poszli w ślady owego wołu i osła — bo inaczéj, nigdy nie będzie między nimi zgody i popchną ostatecznie naród na straszne manowce. Nieszczęśliwa ta izba podzielona na ułamki, miota się jak w gorączce — kraj potrzebuje prawdy, światła, inicyatywy w prawym kierunku, a oni nic stanowczego zrobić nie zdolni, żrą się na zabój i dają mu tylko męt i zgorszenie. — Kilkanaście dni temu taka zawierucha zakotłowała w izbie, że o mało co nie przyszło do czubów. — Skandal ten musiał dać do myślenia księciu Wallii, który właśnie był obecny na tém posiedzeniu. Nie wiadomo tylko czy miał umysł dość wolny aby się zastanawiać nad takiemi drobnostkami — przez czas bowiem swego tu pobytu oddany był cały uciechom scenicznym: Zajął go szczególnie pewny utwór wcale nowożytnego gustu, w rodzaju pięknéj Heleny pod tytułem *Fauscik* (*le petit Faust*). Parodya ta tak mu przypadła do smaku, że nietylko rozkoszował się nią w Paryżu, ale nadto, przybywszy do Marsylii, gdzie także ją grano, najpilniejszą było mu rzeczą pośpieszyć na to widowisko. Biedny Goethe! czy pomyślał on kiedy, że jego arcydzieło, zniżone, przetworzone i w pstrą arlekińską przyodziane szatę, rzucone będzie kiedyś na zabawkę *kokotkom* i *zdechlakom*, i że Faust w tym stroju zachwyci następcę angielskiego tronu!

Jakkolwiek we wszystkich epokach, tak spokojnych jak i burzliwych, zadaniem jest piszących, tworzyć i utrzymywać nastrój moralny w narodzie, którego są członkami, epoka obecna jako wyjątkowa pod każdym względem dla Francyi, szersze niż kiedykolwiek otworzyła pole dla piszących, a szczególnie dla pisarzy dramatycznych. Gdzie się zwróci myśl lub oko, wszystko na téj tradycyjnéj ziemi bohaterstwa i laurów, gdzie czuć dziś w powietrzu świeżą woń krwi, gdzie nieotarte dotąd błyszczą łzy, i biwakują do dziś dnia nieprzyjacielskie falangi, wszystko przemawia do duszy i podaje ton do nowego nastroju. Obaczmy jak się wywiązują z tego świętego obowiązku tutejsi pisarze.

Od ostatniego mego sprawozdania o scenie zjawiło się tu niemało utworów dramatycznych. W teatrze *le Gymnase*, *Księżna Jerzowa*, sztuka Aleks. Dumasa w 3-ch aktach; w *Théâtre Français*, *Christiane*, komedya w 4-ch aktach, p. Gondinet'a;—*w Gaîté*, *Le Roi Carotte* (féerie) w 22-ch obrazach, Wiktora Sardou w teatrze *de Vaudeville*, *Rabagas*, komedya w 5-ciu aktach tegoż samego autora; w teatrze du *Châtelet*, *Daniel Manin*, dramat w 5-ciu aktach, panów Delorbaca i Dharmenona; w *Palais royal*, *Tricoche et Cacolet*, szalone głupstwo, które nic da się opisać, i kilka innych sztuk w rodzaju téj ostatniéj.

Ponieważ Księżna Jerzowa ma się przenieść na polską scenę, zostawiam ocenienie tego utworu miejscowym pisarzom.

Sztuka pana Gondineta, Christiane, jest w bliskiém pokrewieństwie z Księżną Jerzową; w obu cudzołóztwo służy za temat, z tą tylko różnicą, że w sztuce Dumasa wszystkie fakta sprzeniewierzania się męża są najdobitniéj uwydatnione, w komedyi zaś pana Gondineta, przedstawione jest tylko fałszywe położenie dwóch ojców, wynikające z cudzołóztwa.—Maubray, którego nazwisko nosi Chrystyana, jest ojcem legalnym—a pan de Noja, ojcem naturalnym. Nie potrafił autor zużytkować tego dramatycznego położenia—komedya ta nie odznacza się ani wzniosłym polotem uczuć, ani też żadnym charakterystycznym obrazem. Uwydatnienie śmiesznéj strony zdechlaków jest jedyną jéj zaletą.

Le Roi Carotte, król marchwiany, czyli król marchew, jako sztuka nie da się opisać. Ponieważ król jest niby tryumfującym uzurpatorem, a książę, który musiał drapnąć, błąka się po świecie, a w końcu wraca do władzy, przypuszczano więc, że autor miał na celu jakąś myśl polityczną, ztąd tytuł sztuki uważano za nic, a badano gwałtem myśli ukrytéj, która nie istniała. Całe znaczenie sztuki jest w jéj tytule; po téj nici dochodzi się do kłębka, to jest do intencyi i celu autora. *Tirer une carotte*, znaczy: oszukać, okpić kogo rozmyślnie, „*nadut*", jak mówią Rossyanie. Celem autora było *tirer une carotte au public*, wyeksploatować głupotę publiczności—i wyeksploatował ją po królewsku. W téj sprawie, Sardou z autora wyszedł na kuglarza: rzuca w oczy publiczności szyderstwem, a otrzymuje w zamian brzęczącą monetę, która codziennie obficie wpływa do jego kieszeni. Zabawka ta potrwa zapewne jeszcze długo, bo przepych dekoracyj i cudowności, które im towarzyszą, są niemałą pokusą dla tutejszych gawronów. Obraz przedstawiający Pompeję i jéj mieszkańców jest prześliczny. Widok też obnażonych Pompejanek niemałą jest przynętą dla *zdechlaków* (les petits crevés), których to galwanizuje, i dla staruszków, co żyjąc wspomnieniem przeszłości, radzi odświeżyć sobie pamięć minionych chwil. Balet owadów przedstawia nader zabawny i dziki obraz: motyle pszczoły, chrząszcze, jelonki, mrówki, wirują wśród światła fantastycznym rojem — a poważne jarzyny różnego rodzaju, przedstawiające dygnitarzy państwa, przechadzają się automatycznym krokiem i utrzymują *decorum* godności, która przystoi tak znakomitym uosobieniom.

Aby dać wyobrażenie o téj sztuce, opowiem tu jedną scenę, która jest kwintessencyą dowcipu całości. Błąkający się książę nazwiskiem Fridolin, znajduje się ze swoim wiernym ministrem, który mu towarzyszy w podróżach, na dzikiéj wyspie. Kiedy książę zagłębił się w zarośle, aby obejrzeć okolicę, minister jego czując potrzebę zażycia tabaki, otworzył kuferek, w którym były jego manatki, i jął się pilnie szukania tego proszku; tymczasem wpada mu pod rękę książka — bierze ją więc, siada na murawie i zaczyna

przewracać kartki. Małpy siedzące na drzewach, ujrzawszy tego dygnitarza zatopionego w czytaniu, złażą z drzew i plondrują jego kuferek zkąd najrozmaitsze wyciągają narzędzia—jednéj z nich dostał się w podziale instrument, który gra pewną rolę w jednéj z komedyj Moliera, Mr. de Pourceaugnac. Instrument ten, którego użytku małpa dociec pragnie, znany wszystkim, prowokuje śmiech szalony; małpy siadają na murawie, i z powagą naśladują wszystkie ruchy ministra. Wtém nadchodzi książę i wszczyna z nim rozmowę—małpy przypatrują mu się ciekawie. Jak się tu zoryentować? rzecze—byłoby to łatwą rzeczą, gdybyśmy wiedzieli gdzie jest *le septentrion*, (północ). Ledwo książę wymówił te słowa, stojąca tuż przy nim małpa odwraca się szybko do niego plecami i schyliwszy się poważnie, daje mu niemą odpowiedź. Wszystkie małpy jakby na komendę czynią to samo; w sali rozlega się śmiech szalony — małpy powracają do godności. Otóż jest utwór, którym nadchnęły autora krwawe klęski narodu. Drugi pod tytułem *Rabagas*, gorszy jeszcze od pierwszego, bo tamten jest tylko nędzną farsą, ten zaś jest złym *uczynkiem*; tak go scharakteryzował w swoim rozbiorze młody i zdolny krytyk, pan de la Pommeraye.

Pod postacią księcia Monako wprowadził autor na scenę Napoleona III, a wprowadził na to, aby go podnieść w opinii publicznéj, a poniżyć republikanów, których najokropniéj skarykaturował. Słowa, które kładzie w usta księciu, uwydatniają wzniosły jego charakter i czyste chęci; te zaś, które kładzie w usta republikanom, przedstawiają tylko ich stronę potworną. Jest to rozmyślne sceniczne szalbierstwo, bo nie godzi się przeskakiwaniem faktów fałszować historyi—i w chwili kiedy kraj szarpią stronnictwa, torować drogę pretendentom. Gdyby jeszcze karykaturując ludzi, podniósł był i wyjaśnił prawdziwą ideę dzisiejszéj formy rządu i stworzył typ wzniosły, mający służyć fałszywym przedstawicielom téj idei do podniesienia ich sumień i do wyższego nastroju — byłaby tylko połowa złego. Ale nie. — Dzieło swoje oparł on na podwójnym rachunku.

Przekonany, że sztuka tego rodzaju znęci monarchistów, obrał dla swego utworu teatr najdroższy i najarystokratyczniejszy—*to dla kieszeni*. A że jadał w Compiègne cesarskie obiady, których smak został mu dotąd w podniebieniu — zapłacił hojnie ten dług kuchenny kadzidłem — to weksel na przyszłość — bo kto wie co się stać może? Jako człowiek praktyczny, *il a fait d'une pierre deux coups*. W téj sztuce, książę Monaco personifikuje Napoleona, a Rabagas Emila Oliviera i wszystkich w ogólności republikanów. Stworzył on umyślnie typ ogólny, aby *par contre-coup* dosięgnąć Gambettę, chociaż ten nigdy nie starał się o niczyje łaski i sumieniem swojém nie frymarczył.

Zły stan mego zdrowia nie pozwolił mi być dotąd na sztuce *Daniel Manin*. W pierwszéj korrespondencyi przeszlę moje o niéj sprawozdanie.

T. R.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

RYS BADAŃ, KSZTAŁTU I WYMIARÓW ZIEMI

W czasach dawniejszych i obecnych.

przez **Feliksa Fryze.**

(Dokończenie. Ob. 30.)

Tym sposobem Picard miał stanowczy wpływ na odkrycia Newtona.

Przypuszczenie o płynnym stanie początkowym naszéj planety i obrót jéj wirowy na około osi doprowadziły z kolei Newtona i Huyghensa do wniosku, że ziemia nie jest kulą, musi bowiem być spłaszczaną przy biegunach w skutek szybszego ruchu jéj cząstek przy równiku niż w dalszych od niego okolicach, oraz w skutek spoczynku cząstek przybiegunowych. Wnet rozpoczęły się z tego powodu spory uczonych i jedni dowodzili spłaszczenia ziemi przy biegunach drudzy przy równiku. Spór streszczał się w pytaniu: czy ziemia ma kształt cytryny czy pomarańczy. Pomarańcza więcéj jak zwykle miała zwolenników. Za cytryną zaś głosował najgorręcéj astronom paryzki Cassini. Spory te trwały przeszło pół wieku. Aby nareszcie usunąć wszelką wątpliwość, rząd francuzki w roku 1735 polecił wykonanie na wielką skalę prac pomiarowych w dwóch naraz miejscach kuli ziemskiéj: w Peru i Laponii. Do Peru w blizkości równika udała się wyprawa pod przewodnictwem Bougéra, Lacondamine'a i Godin'a; do Laponii zaś w blizkości koła biegunowego udali się Clairault i Maupertuis. Jedna tylko Francya mogła w owym czasie myśleć o równie wielkich naukowych przedsięwzięciach, ona jedna bowiem posiadała wówczas dość licznych potemu dzielnych matematyków. Nawiasem zróbmy uwagę, że w obecnych międzynarodowych pomiarach ziemi Francya dotychczas wcale nie brała udziału, gdyż przygotowawcze jéj roboty tryangulacyjne nie przedstawiały odpowiedniéj ścisłości.

Owoce owych dwóch wypraw były bardzo dla nauki ważne. Przekonano się mianowicie, że długość jednego stopnia południka jest rozmaitą: najkrótszą na równiku, dłuższą w krajach zwrotnikowych, a najdłuższą w podbiegunowych, w Peru naprzykład długość ta wynosiła 110,582 metrów podczas gdy w Laponii wynosiła 111,477 metrów. Dowodzi to, że przy równiku łuk południka jest bardziéj wygięty, pod biegunem zaś więcéj płaski. Spłaszczenie przy biegunach okazało się zatem niewątpliwem, wygrała pomarańcza. Według tego promień równika wynosi 6377,4 kilometry (podług Bessla astronoma królewieckiego i Airy'ego dyrektora obserwatorjum w Greenwich) lub 6378,2 (podług obliczeń francuzkiego Biura długości).

Promień południka w biegunie wynosi zaś mniéj bo 6356,1 (podług obliczeń Bessla) lub 6356,6 (podług Biura długości). Spłaszczenie zatem wynosi przy każdym z biegunów około 21 kilometrów (prawie tyleż wiorst); wyrażone zaś w stosunku promienia wynosi $1/_{299}$ (przyjąwszy obliczenia Bessla). Ułamek ten znaczy, że jeśli odległość miejsca na równiku od środka ziemi jest 300, to takaż odległość punktu przy biegunie wynosi 299.

W obec tych wymiarów kuli ziemskiéj wysokości gór i głębokości oceanu znikają. Porównanie ziemi z pomarańczą jest też jeszcze przesadzone. W tych bowiem rozmiarach wszystkie nierówności ziemi zniknęłyby dla oka najzupełniéj. Co najmniéj zatem kulę ziemską pomimo jéj olbrzymich gór można przyrównać do kuli utoczonéj z drzewa nie wypolerowanéj jeszcze.

Opisane przez nas prace i otrzymane z nich wypadki zwróciły na siebie uwagę nietylko już świata uczonego, ale i tych, którzy pragnęli z pomiarów ziemi praktyczne wyciągnąć korzyści, mianowicie wyznaczyć stałą i niezmienną jednostkę miar i wag. Zasługa pomysłu w tym względzie znowu przypadła Francyi, któréj rząd w czasie od roku 1792, do 1806 polecił najpierwszym swym znakomitościom matematycznym zmierzyć łuk południka pomiędzy Formentera, a Dunkierką na przestrzeni blizko 200 mil. Obliczono na zasadzie tego pomiaru obwód południka i wzięto dziesięcio-milionową część jego ćwiartki jako jednostkę miary. Tym sposobem powstał metr, jednostka używanych dziś już prawie w całéj Europie miar dziesiętnych; za jednostkę miar objętości uznano decimetr sześcienny, i ten nazwano litrem; wreszcie wagę centimetra sześciennego wody, destylowanéj przy 4 stopniach C. ciepła, przyjęto za jednostkę wagi, nazwawszy ją grammem.

Prostota i loiczność tego systematu sprawiły, że wszystkie prawie rządy zapragnęły go wprowadzić u siebie. Naturalnie że z myślą o zapro-

Dalszy ciąg w dodaku.



Monna Liza. Kopia z obrazu Leonardo da Vinci.

Do niniejszego Numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA” Nr. 31-go.

wadzeniu wspólnych dla wszystkich państw miar i wag musiała też powstać myśl, by ich jednostka i zasada była możliwie dokładną. Wątpliwość prowadzi do badań, wątpliwości zaś co do długości południka mnożyły się ciągle, nic więc dziwnego, że pomiary usiłujące rozstrzygnąć niepewności, przedsiębrały odtąd prawie wszystkie państwa. Tym sposobem wykonano prace zmierzenia stopnia południka w Anglii, Rossyi, Szwecyi, Niemczech i Indyach Wschodnich. Długość wymierzonych łuków wyniosła do 2,000 mil geograficznych. Z otrzymanych ztąd wypadków nauka niemało skorzystała; przekonano się mianowicie, że ani południki nie są dokładnémi elipsami, ani równoleżniki dokładnémi kołami. Powstało więc nowe bardzo ważne zadanie: mianowicie wyznaczenie, o ile rzeczywiste kształty ziemi odbiegają od kształtu elipsoidy spłaszczonéj, obliczonéj na zasadach teoryi przez Newtona i Huyghensa; innemi słowy idzie o wyznaczenie różnicy zachodzącéj między rzeczywistym a idealnym kształtem ziemi.

Pierwsze prace geodetyczne przedsięwzięte z tą nową już dążnością rozpoczęto w roku 1848. W tym czasie mianowicie zamierzono wykonać tryangulacyę kraju Noworossyjskiego. Otóż za staraniem astronoma Struwego, postanowiono dopełnić tych robót. W kierunku od Kiszeniewa przez Nowo-Czerkask i Carycyn do Astrachanu to jest w kierunku równoleżnika 47⁰ północnéj szerokości geograficznéj, na przestrzeni blisko 22 stopni. Prace te prowadzono do roku 1856. W tym czasie Struwe, który tylko co ukończył pomiar części południka pomiędzy ujściem Dunaju a morzem lodowatém, powziął myśl zjednoczenia rozstrzelonych dotychczas usiłowań pojedyńczych państw i ułożył projekt zmierzenia łuku równoleżnika 47⁰ na przestrzeni od morza Kaspijskiego aż do oceanu Atlantyckiego, a to w przedłużeniu kierunku już wykonanych pomiarów w Rossyi. Po naradzie z Humboldtem i pruskim geodetą generałem Bayerem, Struwe przekonał się jednak że zmierzenie równoleżnika 47⁰ przedstawia wielkie trudności, z powodu mniéj dokładnych prac tryangulacyjnych wykonanych na tej linii w południowych państwach niemieckich. Wzgląd też że przy tego rodzaju pracy, trzeba by wszystkie jéj części wykonane były jednakowemi narzędziami i o ile można przez tych samych ludzi, a to dla uniknięcia błędów, skłonił, że porzucono równoleżnik 47⁰, a natomiast przyjęto 52⁰. Ten ostatni przedstawiał to przed wszystkiemi innemi pierwszeństwo, że obejmował największą przestrzeń lądu od wyspy Valentia w Irlandyi aż do Orska w stepach kirgiskich, zatem długość 69 stopnia łuku, z których 40 przypada na Rosję, a 29 na Prussy, Belgję i Anglię.

Postanowiono zatem ostatecznie siłami międzynarodowemi dokończyć pomiaru równoleżnika 52⁰ używszy zrobionych już przedtem pomiarów łuków równoleżnika 47⁰ w Rosyj, pomiędzy Kiszyniewem i Astrachanem a we Francyi między Brestem i Strasburgiem, jako sprawdzenia tylko nowych robót. Postanowienie to zapadło już w końcu 1860 roku.

Przedewszystkiem należało wykonać prace tryangulacyjne na linii, o ile te jeszcze nie były ukończone a dopełnione przedtém uporządkować i związać ze sobą. Pracami temi zajęli się oficerowie sztabu generalnego: w Anglii pułkownik H. James i kapitan Clarck, w Prusach generał Bayer, w Rossyi pułkownik Forsch, kapitanowie Żyliński i Skalkowski. Projekta robót wypracowali i przedysputowali Struwe, generał Bayer, dyrektor obserwatorum w Bonn Argelander i dyrektor obserwatoryum w Greenwich Airy. Obrano jako stacye równoleżnika punkta: na wyspie Valentia w Irlandyi, zkąd jak wiadomo wychodzi lina telegrafu atlantyckiego, daléj Haverfordwest w księstwie Walii, Newport w Belgii nie daleko Ostendy, obserwatoryum w Bonn, obserwatoryum Lipskie, wioskę Rozenthal pod Wrocławiem, Warszawę, Grodno, Bobrujsk, Orzeł, Lipeck, Saratów, Samarę, Orenburg i Orsk. Jako obserwatorya główne do obliczenia różnic długości powyższych stacyj przyjęto: obserwatoryum Greenwich dla stacyj Angielskich oraz dla Newportu i Bonn; obserwatoryum Berlińskie dla stacyj Bonn, Lipsk i Wrocław; obserwatoryum Królewieckie dla stacyj Wrocław, Warszawa, Grodno i Bobrujsk; obserwatoryum Moskiewskie dla stacyj Bobrujsk, Orzeł, Lipeck i Saratów, wreszcie Samarę dla reszty wschodnich stacyj.

Do wyznaczania czasu postanowiono użyć 3 zupełnie nowe narzędzia południkowe (przejściowe), z tych dwa z fabryki mechanika Pulkowskiego obserwatoryum Brauera (otrzymał medal na Paryzkiéj Wystawie) a jedno Pistora z Berlina. Do wyznaczania zaś szerokości geograficznéj postanowiono przystępować nie inaczéj jak za pomocą bezpośredniego połączenia stacyj telegrafem elektrycznym. Dla jednostajności przyjęto też zawsze obserwować te same gwiazdy.

Jednym z ważniejszych warunków dokładności wszelkich obserwacyj ścisłych a przedewszystkiem astronomicznych jest zrobienie ich przez jednę i tę samą osobę lub przynajmniéj przez jak najmniejszą liczbę obserwatorów, a to dla usunięcia wpływu jaki wywiera na otrzymywane wypadki tak zwany błąd osobisty obserwatora (equation personelle). W obecnym razie bardziéj niż kiedykolwiek dbać należało o usunięcie owego rodzaju błędów, powierzono zatem wszystkie obserwacye na stacyach równoleżnikowych, bez względu na granice państw, trzem tylko obserwatorom mianowicie: astronomowi obserwatoryum w Bonn, Tielemu, pułkownikowi Forsch i kapitanowi Żylińskiemu. Pierwsi dwaj mieli wymierzać długość, ostatni zaś szerokość geograficzną. Prócz tego obserwacyj na stacyach głównych a raczéj porównawczych podjęli się w Berlinie Forster dyrektor tamtejszego obserwatoryum, w Królewcu astronom Tischler, w Moskwie kapitan Stubendorf.

Aby wszystkie prace tak główne jak i przygotowawcze miały należyty kierunek i aby prowadzący je mogli zasięgnąć potrzebnych objaśnień i wskazówek, utworzyła się w Berlinie umyślna międzynarodowa konferencya zbierająca się co trzy lata i ta odbyła swe pierwsze posiedzenie w Berlinie, w październiku 1864 roku a ostatnie w Wiedniu we Wrześniu r. z. (*) Wypracowała ona całkowity program robót, wskazała metody i granice dopuszczalnych błędów. W konferencyi téj wzięli udział przedstawiciele wszystkich prawie państw europejskich a między niemi najpierwsze dzisiejsze znakomitości naukowe. Do nadzoru czynności wybrano kommissyę z 6 lub 7 osób odbywającą coroczne zebrania w coraz innéj miejscowości Europy. Wreszcie do stałych czynności ustanowiono w Berlinie biuro centralne, zostające w ciągłych stosunkach z prowadzącemi roboty obserwatorami.

Roboty wedle programu rozpoczęto w 1864 r. od Włocławia, jako stacyi granicznéj pomiędzy grupą miejscowości porównywanych z Berlinem a grupą stacyi porównywanych z Królewcem.

Nie możemy się wdawać w opis szczegółowy obserwacyj. Z rysu jaki zamieściliśmy na początku naszego artykułu czytelnicy wiedzą już naczem one polegały; w tem miejscu dodać tylko winniśmy niektóre bardziéj ciekawe szczegóły. I tak aż dotychczas wyznaczenie różnicy długości geograficznéj dwóch miejscowości odbywało się zapomocą znaków optycznych a najczęściéj za pomocą przewożenia chronometrów. W zadaniu tem bowiem idzie właściwie o wyznaczenie czasu, jaki upływa między przejściem pewnéj gwiazdy przez pole lunety, w jednéj i w drugiéj miejscowości czyli o różnicę czasu prawdziwego tych dwóch miejsc. Wszystkie prawie obserwatorya i główniejsze miejscowości na ziemi miały temi sposobami wyznaczoną długość geograficzną. Dla Obserwatoryum Warszawskiego szerokość wyznaczoną była w latach od 1836 do 1842, długość zaś była obliczoną w latach od 1829 do 1841 z obserwacyi 27 zakryć gwiazd. W roku 1845 w miesiącach Czerwcu, Lipcu i Sierpniu, Struwe wyznaczał długość geograficzną Obserwatoryum Warszawskiego względem Pulkowskiego za pomocą ośmiokrotnego przewożenia z Warszawy do Pulkowa 40 chronometrów. Długość tym sposobem znaleziona różniła się od poprzednio znalezionéj o 2, 05 sekund w łuku czyli o 0, 14 sekund w czasie. Otóż dla ujednostajnienia robót, nawet dla obserwatoryów przyjętych za stacye równoleżnikowe nowi obserwatorowie wyznaczali niezależnie od dawnych wyznaczeń szerokości i długości geograficzne. Długość wyrachowywano za pomocą telegrafu elektrycznego. W tym celu w chwili wykonywania obserwacyj telegrafy oddane były na wyłączny użytek obserwatorów. W miejscowościach, jak Obserwatoryum Warszawskie, niepołożonych tuż przy telegrafie urządzono umyślne linie do najbliższych stacyj, i w ciągu nocy ustalano na całéj linii bezpośrednie połączenie dochodzące nieraz długości 1000 wiorst, jak naprzykład między Moskwą a Saratowem. W każdych dwóch porównywanych miejscowościach urządzone były obserwatorye przenośne i w obu jednocześnie obserwowano przejście obranéj gwiazdy przez nitkę w polu lunety. W chwili wejścia gwiazdy na nitkę, obserwator uderzał w klawisz telegraficzny; otóż czas jaki upłynął między usłyszeniem sygnału przez drugiego obserwatora a przejściem téj saméj gwiazdy przez pole jego lunety południkowéj służył do wyznaczenia różnicy długości obu stacyi, naturalnie po uwzględnieniu czasu potrzebnego na przesłanie sygnału. Tym też sposobem mierzono różnicę długości wyspy Valentia i brzegu wschodniego Ameryki za pomocą telegrafu transatlantyckiego.

Roboty przedsięwzięte o tyle szybko postępowały że wciągu kilku miesięcy 1864 roku załatwiono je w gruppie stacyi porównywanych z Berlinem i w gruppie porównywanéj z Greenwichem. Wciągu też tego roku w Warszawie, w Grodnie, Bobrujsku, Orle, Lipecku, Saratowie i Samarze wykonano przygotowawcze roboty, jak zbudowanie tymczasowych obserwatoryów, uporządkowanie materyałów tryangulacyjnych i t. p.

W Warszawie obserwatoryum tymczasowe urządzone było na placu między Aleją Belwederską a Mokotowską obok ogrodu botanicznego, umyślna linia telegraficzna założona wciągu niespełna pół dnia łączyła to stanowisko z biurem telegraficznem na ulicy Królewskiéj. Materyały tryangulacyjne gotowe już były dla Królestwa

(*) Członkiem konferencyi jako jeden z przedstawicieli Austryi jest profesor Karliński dyrektor Obserwatoryum Astronomicznego w Krakowie.

w 1862 roku. Za pomocą przewożeń chronometrycznych między Warszawą, Modlinem, Płockiem, Kaliszem i Chęcinami wyznaczono już wówczas różnicę długości geograficznych tych miejscowości, przyczem za punkta główne obrano Warszawę i Chęciny, a za pośrednie Piotrków, Kutno i Radom. W ogóle obrano 29 punktów. W roku 1866 do tych punktów przybyło jeszcze 33 miejscowości w guberniach Płockiéj, Suwalskiéj i Łomżyńskiéj.

Wciągu 1865 roku wykonano wszystkie roboty astronomiczne w gruppie Wrocław, Warszawa, (obserwowali pp. Tiele i Żyliński) Grodno i Bobrujsk porównywanych z Królewcem i w gruppie stacyi porównywanych z Moskwą.

W roku 1866 kapitan Żyliński kończył tryangulacyę Bobrujską poczem wykonano astronomiczne prace na stacyach Saratów, Samara i Oremburg. Następnego roku doprowadzono wreszcie prace do Orska. Obserwacye w tych stacyach wykazały różne usterki w tryangulacyach tych krajów. Na dokonanie potrzebnych z tego powodu poprawek poświęcono lata 1868 1869, 1870, 1871 i bieżący. W wielu miejscach trzeba było wykreślać i przemierzać na nowo trójkąty, szczególniéj pomiędzy Rochaczewem i Orskiem. Prace w Królestwie Polskiem potrzebowały też pewnych uzupełnień. Główny trójkąt Warszawy stanowiły wschodnia wieża obserwatoryum, piorunociąg nad frontonem Teatru Wielkiego i szczyt wieży kościoła w Woli. Tymczasem piorunociąg nie był dość stałym punktem, wieże zaś obserwatoryum miały uledz przebudowaniu (jedna znich, zachodnia jest już nawet zniesioną). Z tego powodu, uznano za stosowne wykreślić inny trójkąt mianowicie kościół w Woli, obserwatoryum i szczyt wieży ratuszowéj, przy czem ten ostatni postanowiono wprowadzić jako punkt trygonometryczny do pomiaru równoleżnika. Wszystkiego tego dopełnił właśnie przed parą tygodniami w czasie swego pobytu w Warszawie pułkownik Żyliński.

Korzystając ze sposobności, prezydent miasta generał Witkowski zaprojektował wytknięcie w celach praktycznych południka wieży ratuszowéj w sposób widoczny. Jakoż na placu ratuszowym wzniesiono już słup marmurowy na wierzchu którego znajduje się płyta metalowa a na niéj wyrytym jest kierunek owego południka oraz napisy objaśniające szerokość geograficzną wierzchołka wieży ratuszowéj, długość tegoż, daléj wzniesienie płyty nad poziom Wisły i nad poziom morza Baltyckiego. Prócz tego dla uwidocznienia i utrwalenia kierunku południka, na ścianiebramyratuszowéj i pod kolumnadą teatralną wmurowano sztaby mosiężne a po obu stronach słupa w przedłużeniu linii południkowéj ułożone są w bruku szyny żelazne. Praktyczną korzyścią tego urządzenia będzie możność zregulowania bussoli, niezbędnéj przy wszelkiego rodzaju pomiarach i orjentowaniu mapp zwłaszcza strategicznych. Punkt trygonometryczny oznaczony jest na wieży ratuszowéj pod kopułką wpodobny sposób, jak na słupie ustawionym na placu.

Tym sposobem prace międzynarodowe pomiaru równoleżnika 52 zbliżają się już do końca.

Ostatnie roboty odbywają się jeszcze w Cesarstwie i Królestwie Polskiem, pod przewodnictwem pułkownika Żylińskiego jako naczelnika pomiaru stopnia równoleżnika. Pozostanie tylko dopełnienie ogólnych obliczeń i wyprowadzenie wniosków.

Że wypadki téj olbrzymiej międzynarodowéj pracy będą ważne i ciekawe, niema wątpliwości. Dzięki téj pracy dziś już przed jéj ukończeniem i zestawieniem pojedyńczych części mamy bardzo ważne odkrycie zrobione przez pułkownika Stebnickiego, od r. 1870 naczelnika tryangulacyi Kaukazu.

Wiadomo, że kierunek pionowy w danem miejscu oznaczyć można dwojako: albo wprost praktycznie, albo teoretycznie na zasadzie obserwacyj astronomicznych. Ten ostatni sposób daje kierunek jak być powinien, gdyby przyciąganie ziemi miało kierunek stale ku jéj środkowi zwrócony. Ponieważ ciała wywierają przyciąganie w stosunku swych mass, góry zatem muszą skręcać pion ku sobie. Znając przypuszczalnie massę góry, można też z łatwością obliczyć odpowiednie mu zboczenie pionu. Otóż pułkownik Stebnicki zauważył, że na Kaukazie mianowicie w Szemasze zboczenie pionu zamiast wynosić (stosownie do siły przyciągania gór) 28 sekund, dochodzi 15 sekund w łuku i to w przeciwnym kierunku. Dowodzi to, że warstwy gór mniéj przyciągają tam pion niż warstwy pod poziomem leżące po drugiéj stronie pionu. Objaw taki pochodzić może albo w skutek wielkiéj gęstości pokładów podpoziomowych albo też małéj gęstości i wydrążeń we wnętrzu gór.

Podobne zjawisko nieprawidłowego odchylenia pionu spostrzeżono także w okolicach Moskwy i na linii między Theorenbergiem i Markowicami, około Krakowa jak o tem przekonały obserwacye p. Prażmowskiego i pomiary generała Bayera. Właśnie w roku bieżącym jest zamiar zbadania dokładnie przyczyny owéj nieprawidłowości, która utrudniła złączenie tryangulacyi Szlązka z tryangulacyą Królestwa Polskiego.

Odkrycie p. Stebnickiego, jako dające pewne wskazówki o naturze wnętrza ziemi, może mieć w przyszłości niezmiernie ważną praktyczną doniosłość przy poszukiwaniu bardzo gęstych mass jak rudy metalicznéj lub bardzo lekkich jak nafty.

Na tem kończymy nasz rys badań kształtów i wymiarów ziemi w czasach dawnych i obecnych; czytelnicy osądzą sami ich korzyść praktyczną, jak sprawdzenie pomiarów kraju, lub ustalenie jednostki miar i wag, niemniéj jak znaczenie naukowych na téj drodze zdobyczy, które pozwolą nam nareszcie poznać zamieszkiwaną przez nas planetę.

DECYMA JUNIUSZA JUWENALISA AKWINATY,

SATYRA III.

Precz mi z Rzymem!

Satyra ta, chłoszcząca wady społeczne Rzymu za czasu dwunastu pierwszych Cezarów, przedstawia nie jeden szczegół porównania z dzisiejszém gorączkowém rozwinięciem życia wielkich stolic Europy, i z tego powodu wielce ciekawym jest zabytkiem. Przy sposobności téj, nie od rzeczy może będzie przypomnieć czytelnikom choć kilku słowy o jéj autorze. Decymus Juniusz Juwenalis przyszedł na świat w Aquinum w kraju Wolsków, w 42 roku naszéj ery; przetrwał zaś przeciąg dwunastu panowań, poczynając od Klaudyusza, a kończąc na Adryanie. Tedy, jak widzimy, człowiekowi temu wcale innéj próby, właśnie żyć przeznaczono w czasach najmniéj podobno usposobionych do słuchania prawdy, cóż dopiero wypowiadanéj ostrą satyryczną weną. Że zaś nie zbyt to nawet wtedy i bezpiecznèm było, ztąd nic dziwnego, że na widownię publiczną zaledwie za Tytusa dopiero (to jest w wieku już lat 40) wystąpić się ośmielił. Na nieszczęście, za Adryana już, skusiło go przypiąć łatę Domicyanowemu niegdyś ulubieńcowi Parysowi, o którym dał do zrozumienia (w Sat. VII wier. 90—93): że gdyby mu się tylko chciał pokłonić, byłby mógł zostać Trybunem wojskowym. Adryan urażony przymówką zrobioną jego poprzednikowi, udał, że wziął ją jedynie za proste przymówienie się poety o godność Trybuna, — zaczem pośpieszył mu takową udzielić, przeznaczając go oraz do Syeny, czy też jak chcą drudzy do Pentapolu. Juwenalis miał już naonczas lat 80; w podobnych tedy warunkach, uprzejme to wygnanie, stało się niemal śmierci jego wyrokiem, która też niebawem jak się zdaje nastąpiła (około roku 122 po narodz. Chryst.)

Do Kum wyjeżdża jeden z ruhów rzeszy.
Jedno mi po nim tęschnoty umniejsza,
Że choć samotna Sybilla tamtejsza
Z przyjazdu jego wielce się ucieszy.
Tak rzadka teraz gościa tam! I wreszcie
Kumy, toż niemal Bajów już przedmieście—
A znów na świecie jestże co nad Baje
Cudowniejszego? Co do mnie, nie taję,
Że mi pustynia, kędy najbezludniéj,
Milsza od grozy niebezpieczeństw miasta,
Gdzie w skrętach ulic zgiełk co chwila wzrasta,
Gdzie od pożarów blaski łun złowieszcze,
Gdzie ci nad głową źle stawiony dudni
Dom upadając, lub co gorzéj jeszcze,
Gdzie nędznych wierszy albo nudnéj mowy
Cierpliwie słuchać musisz w skwar sierpniowy.
Umbrycyusz zmieścił wszystkie swe manatki
Na wozie jednym. Idę z nim pod ramię,
Aż gdzie opodal, przy Capeny bramie,
Stary wodociąg w mech porasta rzadki.
W miejscu tém niegdyś, w noce letnie, Numa
Nimfy czarownéj oczekując duma.
Dziś gaj ten (źródło, nawet i świątynia)
Żydostwa stał się wynajętą pastwą—
Słomy tam wszędzie i śmieci plugastwo,
I koszów kupy. Wszystko niech przyczynia
Zysków Rzymowi! Jednak—Możny Panie—
Odkąd Muz orszak pierzchać ztąd zaczyna,
Szedł święty niegdyś gaj twój... na żebranie.
Otóż i wdzięczna Egeryi dolina—
Sztuczne pieczary... pięknę! Jednak bóztwo
Dawnemi czasy, gdy je nad tym zdrojem
Prosty otaczał lud uczczeniem swojém,
Wolało stokroć pierwotne ubóztwo
Wilgotnéj rosą w około murawy,
I był też źródłu milszy głaz szarawy,
Niż dziś kosztowna wanna marmurowa.
Tam to Uumbrycyusz w te się ozwie słowa:
W Rzymie dziś wszelki umrzeć musi z biedy
Pracownik zdolny—każdy mi to przyzna;
Więc, gdy stopnieje w rękach ojcowizna,
Cóż daléj pocznę? Czyż nie lepiéj tedy,
Swym własnym kosztem jak być może tanim,
Nim wyłysieję i zgłupieję, zanim
Ręki się drżącéj kij żebraczy imie,
Pleców zaś sakwy puste, i dopóki
Dni moich Parce starczy motowidła—
W miejscu, gdzie niegdyś Dedal złożył skrzydła,
I mnie odpocząć? A więc bądź zdrów Rzymie!
Artoryusz, Katull, chciwe pastwy kruki
Niechaj ci służą! Dość i tych zostało,
Którym tak łatwo czarno zmienić w białe!
Którym przedsiębierstw tak pachną korzyści:
Że ów port, kanał, ten wychodki czyści,
Inny jął trupy wozić, inny zgraje
Gdzieś niewolników po rynkach sprzedaje.
Przybłędy, którzy w cyrku niegdyś sami
Dmuchali w trąbę, są dziś magnatami.
Na nich igrzyska dzisiaj sprawiać pora.
Więc też niech tylko skinie siaki taki,
Zwycięzonego zaraz gladyatora
Zarzezać każą. Poczem lud się trudzi
W dzierżawę chlubną puścić im kloaki.
Czemu nie? Toż fortuna takich ludzi
I tak już z błota na wierzch wyciągnęła,
By sama śmiać się ze swojego dzieła.

Nie, w Rzymie na nic nie zdam się nikomu!
Nie umiem kłamać! Nad nędzną ramotą
Śpię, i odpisu jéj nie pragnę w domu.
Nie czytam w gwiazdach; synom też za złoto
Wieszczyć nie będę: rychło ojciec słaby
Nogi wyciągnie; nigdym w trzewiach żaby
Wróżby nie szukał; i niech kto chce drugi,
Młokosom wietrznym dając swe usługi,
Miłosną swadźbą cudze żony drażni.
Też z rzezimieszki nie jestem w przyjaźni.
Słowem, z tych wszystkich przyczyn — rzecz [przeklęta—
Żaden mię patron nie chce za klienta.
Nie ma dziś innych druhów jak wspólnicy.
Im okropniejszéj węzeł tajemnicy
Dwóch ludzi sprzęga, tém się wielbią szczerzéj.
Kto ci na ucho rzecz uczciwą zwierzy,
Nic ci nie winien, i nic nigdy nie da.
W kim przewiduje zguby swéj narzędzie,
Takiego nawet Werres kochać będzie.
O! stokroć lepsza ostateczna bieda,
Niż los takiego, który w złém podchwyci
Możnego druha; gdyż mu wydarł z gardła
To, co z kolei jemu śmierć wydarła!

Jednak, co głównie twarz mi wstydem pali,
I przed czém uciec radbym jak najdaléj,
To, że nie mogę dłużéj już Kwiryci
W tym Rzymie naszym znieść Greckiego miasta!
Pośród téj mierzwy, jakże też swobodnie
Syryjskie zielsko buja! Gędźby wschodnie,
Brzękadła, harfy, z któremi się szasta,
W jaskrawych mitrach, o bezwstydnéj twarzy,
Tłum pustych dziewek z gladyatorów szują...
O Romulusie! Ci co im dworują
Któż są? Rzymianie! Płaszczyk pieczeniarzy
Z ramion im furcze, karki ich, obrzydłém
Cyrkowem świetnie lśniące smarowidłem,
Obróże zdobią, zdobyte zaszczytnie
W arenach! Tak jest, Grecya u nas kwitnie.
Hejże Greczyni! hej drapieżne ptaki,
Z Sycyonu, z Samos, z Andros siaki taki—
Najsromotniejszy bezwstyd was nie plami,
Byleście w Rzymie byli nam panami!
Toż w was nie darmo, i przebiegła dusza,
I swada rwistsza niźli Izeusza.

Cóż to jest Greczyn? Co umie? Któż zliczy!
Wszystko! Grammatyk, retor, mag, mierniczy,
Malarz, łaziennik, wieszczbiarz i na linie
Skoczek, i lekarz. Nawet niech kto skinie
By w górę frunął — gotów on i na to.
Toż nie był Maurem, Trakiem ni Sarmatą
Ów, co ramionom pierwszy skrzydła daje—
Lecz się w Atenach wylągł jako żywo.
Nie!... precz mi z oczu— precz włóczęgów zgraje
Co? ten przekupień śliw i ciast z oliwą
Pierwszy przedemną siada? Wartoż było
Ku temu w Rzymie ujrzeć światłość miłą!
Ha! lecz któż nad nich bieglej ludzkie sprawy
Uwielbi? Kto jak oni chwali wznioślé?
— Wybornie—dzielnie prawisz mości ośle!—
— O jakżeś piękny panie mój koszlawy!—
Ten znów kaszlący cherlak suchotniczy:
— Toż istny Herkul zdolny gnieść Anteje!—
Ów zaś dobrodziéj co miljony liczy:
— Cudownie śpiewa, choć jak kogut pieje!—
Na upartego chciéj z nim pójść o lepsze.
Nie. Grek cię zawsze i we wszystkiém przeprze.
Patrz! co za aktor! Oto gra Taidę
Surową matkę—jakaż to powaga!
Teraz znów Dorys, zalotnica naga.
Ona to sama! co? toż w zakład idę:
Jéj głos, jéj uśmiech, sploty, szyja biała,
Jéj ruch, jéj wszystko—aż do kształtów ciała!
Weź największego naszych scen mocarza,
Toż przy nim żak jest, a on mu potęga!
Grek już aktorem na świat się wylęga.
Ty się uśmiechniesz—on się z śmiechu tarza.
Niech tylko w oku możnego patrona
Ujrzy łzy pozór—wnet od płaczu kona.
Mówisz: że zimno—on ci wnet odzienie
Najgrubsze na grzbiet wciąga drżąc szalenie.
Mówisz: gorąco—w czułéj swéj dobroci
On ci natychmiast rzewnie się zapoci.

Nie, nie. Z takiemi walczyć ani sposób!
Na to potrzeba dniem i nocą, chętki
Podpatrywania u wpływowych osób:
Co im do smaku? Trzeba mieć grzbiet giętki,
Ciągle o zdrowie pyiać, pomyślności
Życzyć, wprzód znacznie nim ktokolwiek z gości,
I mdleć z rozkoszy, wielbiąc nieskończenie,
Że patron strawił niestrawne jedzenie.

Wreszcie cóż wstrętném jest ich bezwstydowi?
Niczém im cnota pani domu; niczém
Srom synów domu; w schronieniu dziewiczém
Wstyd córki domu; oniby gotowi
Babce się jeszcze mizdrzyć arcysiwéj,
Byle się w łaski wkraść i zyskać wpływy.

Przepatrzmy bliżéj owych władców w Rzymie.
Weźmy tymczasem choć jednego z wiela—
(W Gymnazyach wszystkich głośne jego imię):
Stoikiem będąc—brata otruł sztucznie,
Mędrcem—za złoto sprzedał przyjaciela,
Starcem—na hańbę wydał swoje ucznie!

Nie; dziś nam nawet ani żyć już, kędy
Zazdrosne Greckie królują przybłędy!
W łaski Patrona który z nich jeżeli
Wkradł się, to już ich z nikim nie podzieli;
Owszem, niech tylko w łatwowierność ucha
Jeden z rodzimych jadów swych mu wdmucha,
Choćbym w usługach życie, krew dał własną,
Znagła przed nosem drzwi mi się zatrzasną,
I nawet sień już zawsze mi zamknięta—
Tak to dziś łatwo pozbyć się klienta!

Gdybym czém zachwiać mógł ów zysk obłudy!
Lecz dziś cóż zdziałać ma pachołek chudy?
Może patrona drzwi, nim wstać mu pora,
Za klamkę trzymać? Ależ znam Pretora,
Co jeszcze wcześniéj bierze się do dzieła.
Bowiem zaledwie niejaka zasnęła
Modia, bezdzietna ale ciepła wdowa,
On śle czemprędzéj pytać: czy jest zdrowa?

Patrz! w tym orszaku tłumnym, niewolnika
Wzbogaconego, któż to się przemyka?
Toż obywatel Rzymu! Tak, lecz za to
Tamten uroczą, hojną w brzęk zapłatą,
Któraby pewnie legii Trybunowi
Na żołd starczyła, bardzo łatwo złowi
Nawet Kalwinę chciwą, by mu ona
Drgające żądzą rozwarła ramiona.

Najgodniejszego staw przed sądem świadka—
Niechby to cnota Scypionowa rzadka,
Niech sam król Numa, niech ten, co się zerwie
W płomieniach pomoc drżącéj nieść Minerwie—
Co im z podobnych przyjdzie niewiniątek!
— Oto, twój świadek, jaki ma majątek
Gadaj mi wasze—to na pierwszym względzie;
Czy człek uczciwy? o tem potem będzie.
Jak liczne tuczy niewolników chmary?
Ile pałaców ma i jakie włości?

Ile półmisków stawia dla swych gości?
Jeźli bogaty—toć on wart i wiary!
Jeźli zaś hołysz—słyszysz—precz z nim! Zaczem,
Samotraceńskich bóstw i Rzymskich z płaczem
Wzywając, biedak próżno kląć się będzie.
— Widocznie kłamie—mówią sobie sędzie—
Obszarpańcowi łatwo kusić Bogi,
Toż nie dla niego grom ich pomsty srogiéj.—

Ubóstwem mojem wszystkich tylko bawię.
Płaszcz mi się rozdarł:—Wiatrom sień rozwarta!
Plamy na todze:—toż z wyspami karta!
Z obuwia palce widać mi:—ciekawie
Ujrzeć świat boży wyszły sobie z chlewa!—
Nawet nieskładną gdy ujęte dratwą,
Jeszcze i wtedy uśmiać się jest łatwo:—
— Znudzony życiem but półgębkiem ziewa!—
Nędza rozpaczy czemu bywa blizką?
Bowiem z człowieka robi pośmiewisko.

Chodźmy na teatr.—Precz ztąd!—woźny woła—
Tu świetne tylko towarzystwo siada!—
Odchodzę, wstydem trapiony nielada.
— Tak jest—ma słuszność. Toćże tu dokoła
Siedzą synowie naszych stręczycieli,
Co gdzieś na gnoju światło dnia ujrzeli.—
Tam któż to klaszcze w te wytworne dłonie?
Wzbogaconego syn woźnego gładki;
A tyś znów świetny zkąd się wziął Othonie?
Z hecarza ojca i tancerki matki.

W Rzymie, widzianoż gdzie ubogie zięcie?
Nie. Dam ci córkę, a ty dasz mi tyle.—
Biedaka czyż kto wspomni w testamencie?
Wezwąż go zasiąść pomiędzy Edyle?

Doprawdy, nie źle byłoby to, jeźli
Wszyscy biedacy z Rzymu się wynieśli.
Chudym gdzieindziéj wyżyć trudno bywa,
Tu zaś nie żartem trudność osobliwa.
Co za drożyzna! toż najlichszy przecie
Obiad—poddasze—dopieroż gdy chcecie
Mieć służącego—to aż się zaciska
Dusza w człowieku—a znów za nic w świecie
Jeść z glinianego nie chciałbyś półmiska.
Ha! ha! Cyncynnat nie znał téj pogardy!
Gdy ocalone rzucał Kapitole,
W swéj chacie prostéj, on zwycięzca twardy
Nie inne miewał naczynia na stole!

Jest okolica od Rzymu daleka,
Gdzie na śmiertelny stos dopiero, człeka
W strój ubierają który złotem świeci.
Co do żyjących—to patrz, kiedy w święto
Gdzieś na murawie teatr im wytknięto,
By grać odwiecznie znaną krotochwilę,
W któréj grymaśnych mask i wrzasku tyle
Że aż ze strachu uciekają dzieci—
Widz tam i aktor, zarówno bogaty,
Najprostsze tylko ma na sobie szaty.
Nawet największe miejsca dostojniki,
Nie noszą innéj nad białą tuniki.
A teraz weźmy Rzym. Tam, zbytkowanie
Możność każdego jest przewyższyć w stanie.
Nadmiar tu, życia jest potrzebą! Biada
Jeźli go nie masz, bo zaraz w sąsiada
Kieszeń zagrążysz rękę! Tak, tak bywa—
Nikomu tego nie wstyd. Rzecz wstydliwa
Jedna jest tylko: biednym być!
Cóż dłużéj
Taić? toż pieniądz do wszystkiego służy.
Co dasz? Kossusa klamka ci odskoczy.
Co dasz? Wejenton, przymrużywszy oczy
Ujrzeć cię raczy. Patron twój, jak słyszę,
Ulubionemu swemu sprawia gody
Niewolnikowi. Nuże, nowa bieda!
Podarki dawaj, które ten pan młody
Niebawem znowu z zyskiem ci odprzeda.
Tak to my wspólnéj biedy towarzysze,
Płacić musimy radzi czy nie radzi,
Nie nasze łaski nie naszéj czeladzi!

W Preneście chłodnéj, lub w cienistym lesie
Wolsyniów, kędy nie zna lud bezprawia,
W Gabiach, i nawet kto się rad przeniesie
W Tybur zielony, niech się nie obawia
By był w swym domu żywcem pogrzebany.
Lecz w Rzymie nigdzie nie ma trwałéj ściany.
Kiedy przemyślna gospodarza ręka,
Mur przyklepany który zewsząd pęka,
Podparła belką co się w palcach kruszy:
— Śpij waść spokojnie na obadwa uszy—
Tak ci powiada; a tobie śmierć blizka,
Bo ci nad głową wiszą rumowiska.

Dopieroż pożar!—Hej! ratujcie przecię!—
Klnie Ukalegon w słowa jak najświętsze,

Szybko zbierając kosztowne rupiecie.
Już ogień hula aż na trzeciem piętrze,
A ja o niczém nie wiem! Jakże chcecie?
Jeśli od dołu buchną dymów pędy,
To ty, co mieszkasz gdzieś pod niebem (kędy
Cienka dachówka broni źle od słoty
Skrzydlate w gniazdach blizko chmur istoty),
Miejże przynajmniéj tę pociechę człecze,
Że ostatniego ogień cię upiecze.

Łoże zaledwie wysłane pod głowy,
Na półce skromny zapas naczyń z gliny,
Kubek i prosty nóż, i za jedyny
Zbytek, Chirona posążek bronzowy,
A jeszcze skrzynia pełna książek, w której
Najszacowniejsze poemata, szczury
Popodgryzały—poety Kodrusa:
Oto i cała już chudoba kusa.
— Nie warto po to schylić się—powiecie?
Ale on nie miał więcéj nic, a przecie
I to mu w ogniu bezpowrotnie znika.
I oto w jednéj na grzbiecie koszuli.
Cóż w gębę włoży? Kędyż się przytuli?

Lecz niech wspaniały pałac Asturyka
Płomień ogarnie—gwałtu!—mdleją panie,
Truchleje młodzież, pretor posłuchanie
Co najpilniejsze do jutra odkłada,
Ten ci: niestety! inny krzyczy: biada!
Toż to nieszczęście! toż to miejska plaga!—
Jeszcze się płomień trzyma ścian zażarcie,
A tu na pierwsze pogorzelca wsparcie:
Ów dał na koszta kamieniarza, cieśli,
Ztąd mu już bronzy, z tąd marmury znieśli,
Ztąd posąg nimfy skromnéj, choć jest naga,
Ztąd Polykleta cudny utwór, który
Z Azyackich świątyń skradła gdzieś niecnota,
Ztąd bibliotekę, którą zdobi z góry
Minerwa mądra, ztąd znów wory złota;
Słowem, że taki, stokroć się bogaciéj
Ma po spaleniu, niż cośkolwiek straci,—
Więc też mniéj dziwno, że się o nim powie:
Czy on przypadkiem nie był z ogniem w zmowie?

O Juwenalu—posłuchaj mię! Jeśli
Bez igrzysk w cyrku żyć twój umysł może,
Tobyśmy razem z Rzymu się wynieśli.
Patrz—w Fruzynonie, w Fabrateryi, w Sorze,
Łatwo jest kupić dom za cenę, w któréj
Tu nie wynajmiesz nawet mysiej dziury.
Tam i ogródek masz i chłodną studnię,
Z któréj twe krzewy skrapiasz sam w południe...
Co? jakże? tożto rozkosz jako żywo
Własne jarzyny, owoc mieć, mleczywo;
Mieć tyle ile na uciechę miłą
Pytagorejcom stuby wystarczyło!
Wierz mi—ten tylko duszę z niebem zbrata,
Który posiada, niech na krańcu świata,
I niech najmniejszy—lecz swój własny kątek!

Patrz! w Rzymie waszym, ileż to paniątek
Najzdrowszych ginie, którym na śmierć spali
Wnętrzności pokarm żrący jadowicie.
A iluż chorych z braku snu skonali!
Czyż to pod strychem łatwo spać—myślicie?
Cieszą się tylko zbytkiem tym bogacze.
Bowiem od grzmotów tętniących w ulicy
Wozów, od wrzasku jakim klną mulnicy,
Sam nieboszczyka popiół w urnie skacze.

Ot, jeden z takich gdzieś na miasto pędzi.
Liburskie rosłe niosą go drągale.
— Z drogi!—On drzemie, wsparty na krawędzi,
Pisze lub czyta—wiedząc doskonale,
Że choćby nawet po głowach gawiedzi
Przejść miał, to zawsze i wszystkich wyprzedzi.
Nie tak to wcale my co drepczem pieszo!
Wpadłeś w tłum—gwałtu!—wszyscy wrzeszczą, spieszą,
Puściłeś jednych, drudzy cię pochwycą;
Ten w bok ci cebrem, ten dał w łeb tarcicą;
Ten w drogę włazi, ów ci wlazł na piętę;
Po same kostki w błoto lgniesz przeklęte,
A w tém na nodze żołnierz zawadyaka
Stawia ci gwoździe swojego chodaka.
Cóż znów za ciżba u tych drzwi tam w dali?
To u patrona swego się zgłodniali
Klienci żywią. Precz! bo cię roztrącą.
Każdy z nich z misą odbiega kurzącą.
Ledwieby dźwignął Korbulon opasły
Ogromny kocieł, który ów na głowie
Niesie, i jeszcze pędząc co się zowie,
By pod naczyniem węgle mu nie zgasły.
Od kapiącego tłuszczu sukniom biada!
To też się przed nim wszędzie tłum rozpada.
Owdzie znów rynku środkiem gdzie najludniéj,
Drgając na wozie, stos ogromny dudni
Spiętrzonych belek. Poruszeniem szparkiem
Na bok odbiegasz—alić nad twym karkiem
Ku górze jedzie, utrudzając dźwignię,
Głaz Liguryjski żyłkowany pięknie.
Niech się obśliźnie blok, niech łańcuch pęknie,
To pod tą bryłą spadłą z wysokości
Któż się doliczy członków swych i kości?
Człek tam, jak tchnienie lekkie, tylko mignie,
I już go nie ma. A tu w jego domu,
O niczem ani wiedząc, gospodyni
Amfory płucze, nieci ogień, z skrzyni
Szczotki, bieliznę dobywa, wyraźnie
Kąpiel gotując miłą—ale komu?
Bo mąż jéj wziął już co się zowie łaźnię.
I oto patrzcie—mętne Styksu głębie
Dziwnie zaprawdę trwożą tego człeka!
Czy aby w łodzi miejsca się doczeka?
Bo on obola nawet nie ma w gębie,
Którego Charon, brodaty dobrodziej
Za przewóz żąda.—
Alić noc nadchodzi.
Z nią klęski nowe. Wśród ciemności ślepej,
W bruku, rozbitych naczyń tkwią czerepy,
Kalecząc nogi, inne z ganków lecą.
Więc też człek każdy oględniejszy nieco,
Testament pisze, zanim się wybierze
Na miasto w obcym domu zjeść wieczerzę;
Gdyż niemal w każdéj oświetlonej szybie,
Niespodziewana śmierć a nagła dybie;
A ty się modlisz, idąc po pod ścianą,
Żeby cię tylko pomyjami zlano.
Zawalidroga, który dziś nikogo
Po pijanemu nie wygrzmocił srogo,
Rozpacznie z boku na bok się przewraca.
Zasnąć takiemu, tyleż ciężka praca,
Co Achillowi, gdy Patrokla jęczy!
Więc też nadziei pełen duch młodzieńczy
Znów go z powrotem wyjść w ulicę zmusza.
Tam zaś, czy myślisz, że on Patrycyusza
Zaczepić zechce, który wśród ochoczéj

Klientów rzeszy, wesół, przy pochodni
Bronzowych blasku, kroczy najwygodniéj?
Nie, nie, on do mnie prosto się zatoczy,
Któremu ledwie miesiąc świeci blady,
Albo kaganek, który ci najczęściéj
Od wiatru gaśnie. Lecz posłuchaj zwady,
O ile zwady przyznać tam zaszczyty,
Gdzie jeden bije a drugi jest bity.
Oto mi sobą drogę w szerz zawali:
—Stój!—woła. Staję. Cóż mam robić daléj
Z opojem wściekłym, nader silnym w pięści?
—Zkąd się ciemięgo wleczesz? — w twarz mi ciska —
Z jakim tam szewcem, z jednego półmiska,
Jak wieprz mlaskając, obgryzałeś czule
Baranie gnaty spowite w cebulę,
Poczem na wety pchałeś w siebie bury
Bób, nie żałując arcy kwaśnéj lury?
No—gadaj!—Tu mię zwali w kark od ucha—
No—gdzie cię szukać, ty cudaku chudy?
Z pod jakich schodów z psiéj wylazłeś budy? —
Chciéj się poskarżyć — skarg twych któż wysłucha?
Owszem—niech jeszcze on cię sam przed sędzie
Pozwie—to jemu wiara daną będzie—
Zwłaszcza jeżeli powie żeś włóczęga.
Tak to niech biedny krzywd swych mścić się wzdraga—
Gdyż sprawa jego zawsze jest nie tęga!
Skrwawiony, dobrze jeszcze, jeśli z gęby
Nie wszystkie w drodze powypluwasz zęby!
Lecz nie tu jeszcze ostateczna plaga.
Gdy już sklep każdy swoje drzwi zatrzaśnie,
Gdy na wrzeciądze już po domach bramy
Zaryglowano,—dopieroż tu mamy
Uprzejmych gości, którzy ci nie gardzą
Nożem sakiewkę z gardła wziąść! a właśnie
Tylko co, miejska straż, w Pontyńskiem bagnie,
Lub w Gallinaryi puszczach pilnie bardzo
Opryszki dzielne powyśledzać pragnie,
Acz z całkowitą czasu stratą, jeśli
Ci w Rzym tymczasem tłumnie się przenieśli.
A jednak jestże kędy kuźnia, gdzieby
Kajdan nie kuto? A dla téj potrzeby
Tyle żelaza nawet już przepadło,
Że wkrótce zdziałać rydel, pług lub radło,
Nie będzie z czego! Więc przyznajmy sami,
Że z wiekiem wszystko na złe się odmienia:
Bowiem za królów i pod Trybunami,
W Rzymie, jednego było dość więzienia!
Aż oto dość już. Niech w sposobną porę
Stanowczy rozbrat z miastem waszém biorę.
Do słów mych, innych mógłbym dodać wiele,
Lecz już i słońce łoże sobie ściele,
I już nie jeden znak mi biczem skinie
Woźnica wielce niecierpliwy, gdy się
Nie mniéj w zaprzęgu niecierpliwią muły.
Bądźże mi tedy zdrówJuwenalisie!
Jeśli rzuciwszy kiedy Rzym nieczuły,
W rodzinnym zechcesz nabrać tchu Akwinie,
To twój przyjaciel wraz się z Kum wybierze,
Byśmy co prędzéj oba, twéj Cererze
I Dyanie, wspólne serc objaty nieśli,
Poczem wśród chłodnéj gajów ciszy—jeśli
Ten co dziś będziesz—to satyry biczem
Znów razem złości naszych czasów świczem.

Felicyan.

Treść: Lionardo da Vinci. — Idealizm i materyalizm, Klemensa Łuczyca (c. d.) — Herod-Baba, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Korespondencya z Paryża. — Ze świata naukowego i społecznego.—Kształt i wymiar ziemi, przez Feliksa Fryzego, (dokończenie).—Decyma Juniusa Juwenalisa Satyra III, Felicyana.—
Ryciny: Leonardo da Vinci. — Chrystus nauczający w kościele. — Familja święta. — Monna Liza.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 3 (15) Апрѣля 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

W Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.